Rok XIV. Nr. 2.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Kwartał II.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Ks. Ks. Misyonarzy.
1908.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1908 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — Ks. Ks. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

NR 2

Jubileusz Najprzewielebniejszego O. Generała.

(List Najczcigodn. ks. Wizytatora Słomińskiego do Redakcyi).

Paryż, 15. czerwca 1908.

Łaska Pana naszego J. Chr. n. b. z n.!

Jestem pewien, że oczekują wszyscy wiadomości o przebiegu tutejszych uroczystości jubileuszu. Chcąc tę całkiem słuszną i godziwą ciekawość Konfratrów i Sióstr zaspokoić, spieszę z krótką wiadomością, która, jak sądzę, jeszcze zdąży do najbliższego numeru Rocznika.

Przedewszystkiem zaznaczę, że, jak już pisałem w moim cyrkularzu, chciał Najczcigodniejszy O. Generał, żeby ten jubileusz Jego przeszedł niepostrzeżenie i dlatego nie pozwolił ani nic urządzać, ani też komukolwiek o jubileuszu wspominać. Nawet Najczcigodniejszej Matce Generalnej nie pozwolił o nim w cyrkularzu umieścić odnośnego ustępu. Sam wspominał mi o tem, tłómacząc powody, a powody te wszystkie, jak widziałem, dyktowała Mu przy pokorze nadzwyczajna Jego delikatność.

Nie mógł przecie oprzeć się wreszcie naleganiom, które w ostatniej chwili ponowiono tutaj w domu centralnym, żeby w ściśle rodzinnem kółku i to tylko domu centralnego całkiem skromnie ten dzień obchodzić i żeby jako dar przyjął przynajmniej Msze św. i Komunie św. Rocznica właściwa przypadała na 29. maja, chciano ją jednak złączyć z imieninami 13. czerwca, z powodu zaś suchych dni i z powodu święceń w tym dniu odłożono ten skromny obchód na dzisiaj.

*
* *

Dodam zaraz, że szczególnego uroku tej uroczystości rodzinnej dodaje tutaj obecność ks. biskupa Tasso, asystenta

O. Generała, który musiał się mimo usilnych zabiegów, by się wymówić od tego zaszczytu, poddać decyzyi Ojca św., mianującego go biskupem Aosty w północnych Włoszech. W dzień Wniebowstąpienia Pańskiego był konsekrowany na biskupa w Rzymie na Monte Citorio przez wydelegowanego ze strony Ojca św. kardynała sekretarza stanu Merry del Val w asystencyi dwóch biskupów Misyonarzy Costagliola (bp. Chieti) i Parodi (bp. Sassari) w obecności Najczcigodniejszego O. Generała. Zanim rząd włoski napisze swoje *exequatur*, po którem będzie mógł objąć dyecezyę, chce jeszcze pokrzepić się bytnością w domu macierzystym, a spieszyło mu się, aby zdążyć na uroczystość jubileuszową. Kiedyśmy więc z ks. Weissmanem dnia 12. b. m. w piątek o godz. 8. rano stanęli tutaj w domu macierzystym całkiem niespodzianie, dowiedzieliśmy się, że i ks. bp. Tasso przed kilkoma chwilami z Rzymu przyjechał.

Miło patrzeć, jak uprzedzają się w czci wzajemnej dla siebie: O. Generał dla biskupa a biskup znów dla swego przełożonego. Wszyscy zaś nie mogą się nacieszyć tym biskupem, bo bardzo to był miły, kochany a przedewszystkiem pokorny i święty Konfrater. Kiedy poszedłem przywitać N. O. Generała, zdziwił się niezmiernie, po co się tak nagle zjawiłem, a gdym Mu wytłómaczył, że po to, aby uczestniczyć w Jego uroczystości i złożyć Mu życzenia od polskich Misyonarzy i Sióstr, nie chciał wierzyć, a potem tylko powtarzał „to za dużo“, ale bardzo tem był rozrzewniony. Powinszowanie odłożyłem na jutro, a tymczasem przywitawszy i pogratulowawszy ks. biskupowi Tasso, zająłem się przygotowaniem ostatecznem naszego prezentu. Wieczorem zaszła bardzo rzewna chwila i miły epizod.

Była konferencya piątkowa, której przewodniczył ks. Asystent Forestier. Ks. bp. Tasso siedział jak zwykle na swem zwyczajnem miejscu między Misyonarzami. Na trzeciem miejscu ks. Forestier wywołał jego, prosząc, aby zakończył konferencyę. Zachwycająca i budująca była prostota, z jaką mówił ten wzorowy Misyonarz, a rozrzewniająca pokora

szczera, z jaką się uniżał, przepraszając za zgorszenia, jakie dał przez czas bytności w tym domu. Przyszło mi na myśl, że tak musiał wyglądać i tak musiał mówić św. Wincenty w czasie konferencyi, z tą tylko różnicą, że nie miał krzyża biskupiego na piersiach. W sobotę była uroczystość święceń kapłańskich, których młodym Misyonarzom udzielał ks. bp. Tasso. Sześciu otrzymało tonsurę, 4 mniejsze święcenia, 12 subdyakonat, 1 dyakonat, a 10 prezbyterat.

Po południu konsekrował ks. biskup kielich, który miałem ofiarować O. Generałowi. Pod wieczór poszedłem do Najprzewielebniejszego O. Generała z życzeniami i z darem. Jeszcze raz mnie pytał przedewszystkiem, czy przybyłem umyślnie na Jego jubileusz i na dowód prawdy pokazałem Mu mój cyrkularz i ofiarowałem kielich z napisem łacińskim: „Najukochańszemu i Najczcigodniejszemu swemu Ojcu — A. Fiat — najoddańsi synowie prowincyi polskiej 1858.—1908.“ Powtarzał, że za dużo tego wszystkiego, ale bardzo był rozrzewniony tem naszem przywiązaniem i powtarzał mi, że to prawda, że on nas kocha szczególniej i że bardzo się cieszy naszym rozwojem. Wypytywał z prawdziwie ojcowską troskliwością o nasze polskie stosunki, czy prawo o wywłaszczeniu pod Prusakiem zastosują, jak jest teraz w Królestwie i co u nas w Galicyi po naszych ostatnich wypadkach. Mówił o tem wszystkiem tak, jak mówić może tylko ten, co się o to troszczy i który kocha tych, co w tych stosunkach cierpią.

Oczywista, że dopytywał się przedewszystkiem o nasze sprawy Zgromadzenia, o polskich Misyonarzy i polskie Siostry. Powiedziałem mu wreszcie, że Siostry z prowincyi krakowskiej wysłały Mu za mną koleją dar, pracę swoich sierót i że wyglądam lada chwilę nadejścia tej wysyłki. Wyszedłem bardzo rozrzewniony i bardzo podniesiony na duchu. My Polacy bowiem tak już odwykliśmy od tego, żeby niepolak rozumiał nasze bóle i z nami współczuł, że kiedy to przecie napotkamy, odczuwamy to podwójnie. Miło to także jest stwierdzić, że zawsze prawdą jest, co powiedział P. Jezus: „Ktoby

opuścił ojca, matkę dla mnie, stokroć tyle otrzyma". Kościół św. i Zgromadzenie, duchem Bożym ożywione, tę prawdę stosują w praktyce — znajduje się tam ojca, znajdzie się matkę.

W niedzielę przed południem zgromadziliśmy się u O. Generała wszyscy księża, w których imieniu winszował ks. Forestier. W odpowiedzi zaznaczył O. Generał, że nie chciał, aby ten jubileusz obchodzono, bo prawdziwie czuje się niegodnym, ale miły mu ten objaw i dziękuje za życzenia. Szczególniej jednak rozrzewniła go prowincya polska, która przysłała umyślnie swego Wizytatora i ofiarowała mu dar nadzwyczajny i nader cenny. Wszystkim pokazywał nasz kielich, który się ogólnie nadzwyczaj podobał. Zaznaczył zaraz, że rzeczywiście zawsze prowincyę naszą szczególniej miłował. Właściwie jednak niedziela, t. j. dzień wczorajszy, należała do Sióstr, bo w ich domu celebrował Najczcigodniejszy Jubilat Mszę św., a o godzinie 10. przyjmował od nich życzenia, po południu zaś, po błogosławieństwie, odprawionem przez O. Generała, winszowały seminarzystki. Dzisiaj odprawiliśmy wszyscy na intencyę Najczcigodniejszego Jubilata wcześnie Msze święte, aby o godz. 7 wziąć udział w uroczystej Mszy św. jubileuszowej. Ołtarz przepięknie ubrany, całe wielkie prezbyteryum zasłane prześlicznym dywanem, który w r. 1864 wszystkie Towarzystwa Pań Miłosierdzia ofiarowały przed ołtarz św. Wincentego.

Wokoło dywanu, w pięknych splotach wieńców, tkano nazwiska miejscowości, w których się znajdują Towarzystwa Pań. Ze zwruszeniem spostrzegłem, że nazwy Kraków, Lwów, Poznań, Warszawa, Chełmno etc. wypisane na pierwszych miejscach tuż od samego ołtarza począwszy. Wytłómaczono mi, że wtedy, gdy ten dywan robiono, Polska cierpiała, bo była prześladowana bardzo, więc uznano, że należy się jej pierwsze miejsce. Dodałem, że ona cierpi bardzo i dzisiaj. Uroczystą Mszę św. o św. Wincentym w asystencyi Wizytatora tutejszej prowincyi a zarazem dyrektora seminaryum i w asystencyi dyrektora scholastyków odprawił Jubilat wobec

wszystkich księży, kleryków, ks. bpa Tasso na tronie i Matki Generalnej, będącej wśród urzędniczek blizko ołtarza w bocznej nawie. Mnóstwo Sióstr było w kaplicy i na trybunach. Do tej ofiary Mszy św. służył kielich przez nas ofiarowany. Po Mszy św. zaraz w uroczystej asyście odprawił ks. bp. Tasso błogosławieństwo Najśw. Sakramentem, wśród którego odśpiewaliśmy radosne *Te Deum*. I widać było, że z radością to *Te Deum* śpiewa każdy, dziękując szczerze i gorąco Bogu, że tak długo zachował nam tak dobrego Ojca. Smutne tylko wrażenie robiło to, gdy podniósłszy oczy, widziało się nad ołtarzem kratę zamkniętą, a wiedziało się, że nie otworzyła się na to radosne święto rodzinne dlatego, że niema tam za nią drogich szczątków naszego Ojca, św. Wincentego. A przecie radował się chyba św. Wincenty, że Jego dzieci tak ze serca obchodzą jubileusz Jego Następcy i chyba dziś wypadało, żeby ze wspaniałej trumny wśród blasku świateł zajaśniała jak dawniej słodko uśmiechnięta twarz naszego św. Założyciela. — To też kiedy patrzyłem przy ołtarzu na tego naszego tak Czcigodnego Jubilata, który po 50 latach ustawicznej pracy kapłańskiej i po tych latach 30, przez które dźwigał tak ciężki urząd przełożonego generalnego, silnym głosem śpiewał prefacyę, radowało się serce, ale przejmowały je i dreszcze bólu, że tej prefacyi o św. Wincentym w swój jubileusz nie odśpiewał wobec relikwii św. Wincentego, i nawet nie zajaśniała Mu nadzieja, że św. Wincenty prędko będzie mógł na ołtarz swój wrócić. I nasunęło mi się znów na myśl podobieństwo naszego Jubilata do Głowy Kościoła św. I do tamtego Jubilata nie mogą spieszyć tłumy, jak spieszyły jeszcze nie dawno, bo nieprzyjaciele tam w nienawiści swojej teraz gwałtowniejsi i skromne tam także obchody jubileuszowe. I tu skromnie i radość się miesza ze smutkiem, bo nasz Jubilat nie pewien, czy nie długo za św. Wincentym domu tego nie opuści. Modlić się więc za Niego tem bardziej winniśmy.

Ks. K. Słomiński
n. k. Z. M.

Początki naszych domów w Północnej Ameryce.

Opuściliśmy Europę dnia 24. listopada 1903. r. we trzech, t. j. niżej podpisany wraz z ks. ks. Trawniczkiem i Waszkem, pierwotnie w celu udzielenia kilku misyi w Ameryce Półn. wśród rodaków, a jeżeli by się nadarzyła przytem jaka sposobność założenia osobnego domu, mieliśmy zamiar z niej skorzystać. Nim jeszcze wstąpiliśmy na ziemię wolną Washingtona, nadszedł już telegram ks. biskupa Tierney'a z Hardford do ks. Nawrockiego w Brooklynie, u którego mieliśmy odprawić pierwszą misyę, wzywający nas do objęcia parafii w New Haven w stanie Connecticut. Po bliższem porozumieniu się z ks. biskupem wyjechaliśmy do New Haven dnia 28. grudnia 1903. r., ażeby od nowego roku objąć zarząd tejże parafii.

New Haven (Nowy Port), oddalone na północny wschód od Nowego Yorku o 72 mile angielskie, leży nad kanałem, który tworzy wyspa Long Island z lądem stałym. Jest miastem portowem dla mniejszych statków, zwłaszcza żaglowców; mieszkańców ma 120.000, złożonych z różnych narodowości. Polaków było wówczas, gdyśmy obejmowali zarząd parafii, około 1000 dusz, a dziś będzie z górą 2000. Słynie to miasto z uniwersytetu, jednego z najstarszych w Ameryce, zwanego „Yale".

Parafię polską zorganizował tam nasz poprzednik, ks. St. Musiał, w r. 1901. Wychowani w stosunkach europejskich i przyzwyczajeni do wspaniałych kościołów, spodziewaliśmy się, jeśli już nie wspaniałego, to bodaj jako tako urządzonego kościółka. Jakież więc było nasze zdumienie, gdyśmy zajechali przed nader skromniutki budynek, który pierwotnie był składem korzennym i usłyszeliśmy z ust ks. biskupa: „oto wasz tymczasowy kościół, a tu obok plebania", domek mały,

drewniany i dość odrapany. Ale powiedzieliśmy sobie: jeśli ten „kościół“ dla P. Jezusa nie jest za lichy, toć i nam dobry być musi, tembardziej, że będzie nam ustawicznym bodźcem do pracy, by co rychlej zgotować Panu naszemu godniejsze mieszkanie. A ten domeczek mały, w którym z trudem tylko pomieścić się mogliśmy, stał nam się tak drogim, że dziś jeszcze, choć posiadamy domy obszerne i wygodne, wspominamy o nim zawsze z pewnem rozrzewnieniem, bo tam przeżyliśmy pierwsze i to najcięższe chwile w Ameryce.

Od 1. stycznia 1904. r. rozpoczęliśmy naszą pracę parafialną. Przydzielił nam ks. biskup do tej parafli jeszcze dwie ekskursye: Derby i Terryvile tak, że w niedzielę wszyscy trzej byliśmy zajęci. Ja objąłem duszpasterstwo w New Haven, ks. Trawniczek dojeżdżał do Derby, oddalonego o 13 mil ang., a ks. Waszke do Terryville, blisko 50 mil ang. odległego. I w jednem i w drugiem miejscu dziś są osobne parafie; Derby, liczniejsze co do dusz, pozostało w naszych rękach, a Terryville objął ksiądz świecki.

Praca w New Haven, zwłaszcza w początkach, była nader przykra, bo lud niezadowolony dotąd z tego „kościoła“, nie chciał chodzić na nabożeństwa. Powoli rozeszła się wieść, że są nowi księża; zaczęli przychodzić więcej z ciekawości, a że przypadliśmy im do gustu, sprowadzali coraz więcej słuchaczów tak, że w końcu trzeba było powynosić krzesła, bo nie mogli się pomieścić. Ta stanowcza odmiana nastąpiła dopiero od misyi, którąśmy rozpoczęli w Quinquagesimę i odprawiali przez całe dwa tygodnie. Ci, co z początku się burzyli na nasz „starokrajski“ sposób prowadzenia parafii, spokornieli i po misyi godzili się już na wszystko, co uważaliśmy za potrzebne do zarządzenia.

Od samego początku przypominałem niemal co niedzielę parafianom tę nędzę iście betleemską, w jakiej P. Jezus tu mieszkać musi, bo pominąwszy to, że budynek był nędzny i na kościół nieodpowiedni, bezpośrednie Jego mieszkanie, t. j. ołtarz, nie nadawał się nawet do najpobłażliwszej krytyki. Sklecił go jakiś domorosły artysta z kilku źle oheblowanych

desek i pooblepiał bohomazami. Wszystko się trzęsło tak, że ciągle byłem w obawie, że to wszystko runie podczas mszy św. Żebrałem więc ustawicznie o litość dla P. Jezusa i nie na próżno. Lud nasz zawsze ofiarny, gdy chodzi o dom Boży, tu poprostu starał się nad siły, by coprędzej powstał nowy kościół. Pierwotnie miałem zamiar kupić grunt i rozpocząć budowę nowego kościoła. Zwrócił mi jednak uwagę ks. biskup na to, że to prawie niewykonalny projekt wobec małej ilości dusz i mojej zbyt skromnej znajomości tamtejszych stosunków, że lepiej będzie rozglądnąć się za jakimś gotowym kościołem protestanckim, bo oni dość często kościoły zmieniaja: sprzedają stare a budują nowe. Znalazłem taki kościół szwedzki z plebanią i organistówką; zaraz po Wielkanocy rozpocząłem rokowania o zakupno. Dnia 1. lipca 1904. r. zawarłem kontrakt i to tak szczęśliwie, że równocześnie sprzedałem tymczasowy nasz „kościół“ i dom bardzo korzystnie, zyskała parafia na tej transakcyi okrągłe 1000 dol. Poprzednik nasz zapłacił za dotychczasową własnóść parafialną przed $1^1/_2$ rokiem 8000 dol., a ja sprzedałem ją za 9000. Za kościół po Szwedach wraz z obu domami, zapłaciłem 24.000 dol. Ponieważ nie mieliśmy w kasie tyle pieniędzy, żeby spłacić dług, ciążący na dawnej własności t. j. 4.000 dol., trzeba było zaciągnąć pożyczkę w banku. Dopomógł mi w tem angielski proboszcz z Derby i bez wielkich trudności otrzymałem pożyczkę na 16.000 dol. Jedenastego sierpnia przeprowadziliśmy się do nowej plebanii. Kościół trzeba było z gruntu wyrestaurować i przemienić tak, żeby zatracił swój charakter heretycki i nabrał wyglądu katolickiego. Nabożeństwa odprawialiśmy aż do wyrestaurowania kościoła w szkole, która się mieści pod kościołem. Już kilka dni przed przeprowadzeniem się ustawiliśmy nowy ołtarz w tej szkole i tam odprawialiśmy aż do 23. października nasze nabożeństwa, a tymczasem postępowała restauracya szybkim krokiem. Poświęcenia kościoła dokonał ks. biskup w licznej asystencyi kleru, bo choć to była niedziela, w którą każdy ksiądz zajęty w swoim kościele, zebrało się przecież 13 księży polskich i dwóch angielskich.

Narodu zjechało ze sąsiednich parafii więcej niż 2.000; większa część pozostała na dworze, bo kościół co najwyżej może pomieścić 1.100 ludzi. Samych towarzystw, umundurowanych, było 1.600 głów. Wydatki były ogromne, bo oprócz restauracyi, która kosztowała 2.700 dol., trzeba było sprawić aparata kościelne, figury, ambonę, konfesyonały i wiele innych rzeczy; wszystko to kosztowało z górą 3.000 dol., ale widocznie błogosławił nam P. Jezus zato, żeśmy Mu zgotowali mieszkanie godniejsze Jego Majestatu, bo nigdy nie brakło grosza, tak że nawet można było w następnym roku sprawić nowy, wspaniały ołtarz i odbudować wieżę, a prócz tego spłaciło się długu 5.700 dol. i poczyniło rozmaite ulepszenia. Poczciwy ludek, widząc naszą pracę i ciągły postęp, chętnie składał wszelkie ofiary. Dziś mają długu 7.300 dol., który będzie można spłacić w przeciągu dwóch lat.

Nabożeństwa urządzaliśmy bardzo okazale i staraliśmy się zawsze o to, by w kościele czuli się ludzie o ile możności swojsko, t. j. by wszystko znaleźli tam tak, jak w „starym kraju". Zaprowadziłem żywy różaniec dla mężczyzn, niewiast i młodzieńców, a dla panien sodalicyę Dzieci Maryi, zaś dla dzieci szkolnych „Dzieło św. Dziecięctwa". Największej staranności dokładaliśmy w konfesyonale, bo lud był bardzo zaniedbany i leniwy do spowiedzi. Podczas, gdyśmy tam napotykali w pierwszym i drugim roku naszej pracy niemal wyłącznie samych „jednoroczniaków", dziś większość spowiada się co 3 miesiące, a bardzo wielu co miesiąc i częściej, jednoroczniacy należą dziś do rzadkich wyjątków.

Od sierpnia 1907. r. pracuje tam ks. Mazurkiewicz z wielkim pożytkiem. Zaprowadził w kościele nowe ogrzewanie, upłacił już 1.000 dol. długu i w tym roku zamyśla otworzyć szkołę codzienną dla polskich dzieci i wieczorną dla analfabetów.

Do *Derby*, jak wspomniałem powyżej, dojeżdżaliśmy z początku tylko w niedzielę. Nabożeństwa odbywały się dla Polaków w kaplicy pod kościołem angielskim aż do 15. lipca 1905 r. Nie mogliśmy tam regularnie dojeżdżać z powodu

misyi, więc ludzie żalili się, że przyrzeczono im co niedzielę mszę św. i kazanie, a tymczasem miesiąc nieraz upłynął cały, a księdza nie było. Zapobiegli tej biedzie nasi przełożeni, przysyłając nam pomoc w osobie ks. ks. Koniecznego i Sołtyska, którzy przybyli do Ameryki 26. sierpnia 1904. r. Odtąd już stale jeźddził jeden z Konfratrów do Derby. Dnia 15. lipca wezwał mnie ks. biskup Tierney do Hartford i polecił zorganizowanie parafii. Do 8. września dojeżdżałem jeszcze do Derby i nabożeństwa odprawiałem w dawnem miejscu. Ponieważ jednak proboszcz angielski ściągał zbyt wygórowany haracz z Polaków za dalsze użyczanie wspomnianej kaplicy, wynająłem halę osobną, kazałem urządzić ją na prędce i już 8. września odprawiłem pierwsze nabożeństwo. Odtąd dochody parafialne się zdwoiły. Zamieszkałem tymczasowo w Derby, ażeby dopilnować restauracyi domu dla proboszcza, który parafianie nabyli wpierw jeszcze, nim parafia powstała. Na 1. listopada 1905. r. wszystko było już gotowe i zamieszkali tam ks. ks. Konieczny i Waszke. Do 1. kwietnia 1906 r. był proboszczem ks. Konieczny, a od tego dnia objął zarząd parafii ks. Waszke. Wkrótce nabył grunt pod kościół i rozpoczął budowę. Już 4. lipca 1907. r. odbyło się uroczyste poświęcenie tego kościoła. Przez krótki czas pomagał mu w pracy parafialnej ks. Dylla, a od września 1907 r. pomocnikiem dzielnym jest tam ks. Janowski, który obok pracy przy kościele objął kierownictwo szkoły parafialnej. Oprócz tego urządzili tam ks. ks. Konfratrzy, szkołę wieczorną dla analfabetów, przez co wielką oddali przysługę tym biednym ludziom. A lud to bardzo poczciwy, pochodzący z okolic Tarnowa i z Kolbuszowej. Jeżeli wogóle lud polski w Ameryce ofiarny dla Kościoła, to w Derby zasługuje na szczególniejszą jeszcze pochwałę.

W pierwszych zaraz dniach po naszem przybyciu do Ameryki, odwiedził nas w Broklynie ks. Benedykt Tomiak, proboszcz z Manayunk. Uprosił sobie jednego z Konfratrów na święta Bożego Narodzenia i wówczas oświadczył swoją gotowość ofiarowania Zgromadzeniu domu, który nabył z wła-

snych funduszów w *Conshohocken.* Przyjęliśmy tę ofiarę z wdzięcznością, ale nie mogliśmy z niej skorzystać na razie, bo już było przyjęte New Haven wraz z dwiema ekskursyami tak, że wszyscy trzej byliśmy zajęci. Dopiero wówczas, gdy przyjechali ks. ks. Konieczny i Sołtysek, zaczęliśmy się starać o przyjęcie do archidyecezyi filadelfijskiej. Sprawa szła bardzo tępo, a choć wreszcie otrzymaliśmy pozwolenie z Propagandy na osiedlenie się w Conshohocken, nieprzewidziane trudności stanęły na przeszkodzie. Nosiliśmy się z myślą wycofania się całkowitego z tej sprawy, bo restauracya domu pochłonęła już znaczną sumę pieniędzy, a władza dyecezyalna nie chciała zezwolić na otworzenie parafii w Conshohocken. Ks. ks. Konieczny, Trawniczek i Waszke mieszkali już od końca października 1904 r. w Manayunk u ks. Tomiaka, oczekując rozwiązania pomyślnego tej kwestyi. Ponieważ nie było widoków rychłej odmiany, a w lipcu 1906. roku otwarła się parafia w Derby, opuścili przeto Manayunk i od WW. Świętych ks. ks. Konieczny i Waszke przenieśli się do Derby, a ks. Trawniczek zamieszkał w New Haven. Zdawało się, że już wszystko stracone, bo ks. Tomiak zamyślał osiedlić w tym domu Siostry Bernardynki, które objęłyby opiekę nad starcami, niezdolnymi do pracy. Wybudował na gruncie, należącym do tego domu, tymczasowy kościółek i wystarał się o księdza, który tam dojeżdżał w niedzielę. Po jakimś czasie porzucił ks. Tomiak swój zamiar ufundowania w tym domu schroniska dla starców i znowu się zwrócił do nas, czy nie moglibyśmy posłać tam jednego z naszych księży celem zorganizowania parafii. Ponieważ i przełożeni nalegali na nas, byśmy nie pomijali tak lekko okazyi nabycia własnego domu, który może kiedyś być bardzo użytecznym dla Zgromadzenia, uradziliśmy posłać tam ks. Sołtyska, by zajął się zorganizowaniem parafii, restauracyą domu i oczyszczeniem go z długu, bo ks. Tomiak, nie posiadając pieniędzy na wybudowanie tymczasowego kościółka, zaciągnął pożyczkę 7.000 dol. z banku na dom nam ofiarowany. W lutym 1906. r. pojechał tam ks. Sołtysek i gorliwie zajął się pracą około tej nowej parafii tak, że gdy

w listopadzie ks. Konieczny objął zarząd tej parafii, w krótkim czasie oczyścił dom z reszty długu. Z wiosną 1907. r. zakupił ks. Konieczny grunt wraz ze starym popresbyteryańskim kościołem, przylegający do naszego ogrodu i zabrał się do budowy nowego kościoła. Część murów ze starego budynku zużyto a resztę dostawiono i tak powstał wcale okazały kościół w Conshohocken, którego poświęcenia dokonał ks. sufragan archidyecezyi, biskup Prendergast, dnia 20. paździdrnika 1907. r. Do Conshohocken przyłączył ks. arcybiskup kolonię polską Bridgeport w Swydland koło Norristown. Ponieważ ludziom stamtąd trudno było uczęszczać regularnie na nabożeństwa do Conshohocken, przeto już ks. Sołtysek zakupił grunt pod osobny kościół dla nich i rozpoczął budowę, a ks. Konieczny, objąwszy zarząd parafii, dopilnował wykończenia i urządzenia jego. Kościółek ten poświęcony został w grudniu 1906. r. przez ks. prałata Heinen'a i przez czas swego pobytu w Conshohocken dojeżdżał tam ks. Hugo Król i w większej części spłacił dług, ciążący na tej budowie tak, że jego następcy ks. Słupińskiemu pozostało tylko coś koło 1000 dol. do skolektowania, by spłacić reszę długu. Jestto nie tyle misya, ile raczej odrębna parafia, bo wszystkie nabożeństwa odprawia się tam tak samo jak w kościele parafialnym; ta tylko różnica, że ksiądz nie ma tam stałej rezydencyi. Ponieważ liczba dusz od chwili powstania kościoła znacznie tam wzrosła i dług już w tym roku będzie spłacony całkowicie, przeto władza dyecezalna zamyśla o otworzeniu tam odrębnej parafii, a wówczas Zgromadzenie nasze opuści ten posterunek, bo z jednej strony brak nam sił odpowiednich, a z drugiej znowu, miejscowość zbyt mała, by mogła utrzymać się przy tym kościółku conajmniej dwóch księży.

Oddawna było naszem pragnieniem osiedlić się w jakiemś znaczniejszem mieście, skądby i łatwiejsze były ekskursye na misye i silniejsza podstawa. Ks. prałat Heinen, wikary generalny dla spraw polskich i słowiańskich w archidyecezyi filadefijskiej, przyrzekł dopomódz nam w tym względzie i przy najbliższej sposobności osadzić nas we Filadelfii.

Gdy w tem mieście w północno zachodniej stronie wzrosła ludność polska tak, że trzeba było pomyśleć o utworzeniu nowej parafii i ludność tamtejsza zaczęła dopraszać się o księdza, napisał on do nas, byśmy objęli tę nową parafię i wszystko już przygotował do wprowadzenia nas do Filadelfii. Dnia 11. lutego 1907. roku pojechałem do arcybiskupa Ryan'a i oświadczyłem mu, że Zgromadzenie nasze gotowe objąć ten nowy posterunek. Polecił mi niezwłoczne zajęcie się organizacyą, a ponieważ już pożegnałem New Haven z zamiarem osiedlenia się we Filadelfii, przeto niezwłocznie wziąłem się do tej pracy. Przez miesiąc zamieszkałem w Conshohocken u Konfratrów i stamtąd jeździłem codziennie do Filadelfii, by spisać wszystkich parafian przyszłych. Dnia 14. marca zwołałem zgromadzenie organizacyjne, a 24. marca, w niedzielę palmową, odprawiłem pierwsze nabożeństwo dla nowej parafii. Nie było kościoła w pobliżu, tylko katedra; ale do tejże irlandzcy księża nie chcieli początkowo wpuścić Polaków; musiałem zatem wynająć halę weteranów, która była stosunkowo jeszcze najdogodniejszą i tam, otoczeni starymi karabinami, mieczami i portretami różnych dowódców z wojny domowej, chwaliliśmy P. Boga w ojczystym języku przez trzy miesiące. Była to niedogodność, że na każde nabożeństwo trzeba było wnosić ołtarz i przyrządzać go do nabożeństwa, a potem wszystko uprzątnąć, bo zaraz po sumie było zebranie weteranów, większą częścią protestantów. Do św. Trójcy wysłuchałem z pomocą ks. ks. Konfratrów 740 spowiedzi wielkanocnej, bo więcej nie przyszło. Ludzie w tej okolicy rozpici i rozłajdaczeni w najwyższym stopniu, po części niedbali o spełnienie obowiązków katolickich, a po części nie chcieli chodzić na nabożeństwa i przystępować do sakramentów w hali zupełnie świeckiej i tak dziwnie przystrojonej. Gdy w dodatku jeszcze nastąpiły letnie upały, stało się wprost niemożliwem odprawianie tam nabożeństwa. Udałem się wówczas do arcybiskupa z ponowną prośbą o udzielenie nam kaplicy przy katedrze, zupełnie od tejże oddzielonej, zostawionej do wyłącznego użytku dla dzieci szkolnych. Gdy prośby

nie pomogły, oświadczyłem, że opuszczę ten posterunek i żadnego z naszych Konfratrów nie przyszlę do prowadzenia tej parafii. To skutkowało i już od pierwszej niedzieli lipca zaczęliśmy odprawiać w tej kaplicy. Pozwolono nam tylko mieć jedną mszę cichą z kazaniem, ale i zato byliśmy wdzięczni, bo kaplica obszerna i wygodna z łatwością mogła pomieścić ośmset ludzi. Równocześnie chodziłem po kolekcie i zbierałem grosz na kościół. Dnia 14. sierpnia już zakupiłem grunt za 16.000 dol., nie mogłem jednak rozpocząć od razu budowy, bo nie było za co, a zresztą formalności z przepisaniem własności na arcybiskupa napotykały na wielkie przeszkody. Dopiero 20. listopada sprawa została ostatecznie załatwiona i zaraz następnego dnia rozpocząłem kopanie gruntu pod kościół. Plany były już gotowe, kontrakt na budowę zawarty, i rozpoczęła się 24. listopada. Zimy nie było prawie żadnej, więc robota szła wichrem. Już w trzecią niedzielę adwentu mieliśmy poświęcenie kamienia węgielnego; ceremonii tej dokonał ks. sufragan, a ks. Konieczny wygłosił stosowne i bardzo piękne kazanie. Pożyczkę na budowę otrzymałem z kasy oszczędności za poręczeniem ks. arcybiskupa. Budował się równocześnie z kościołem dom dla księży na tym samym gruncie. Kościół jest tylko tymczasowy, t. j. aż po cokół z nadbudówką nad środkową nawą; mury z granitu, a nadbudówka z drzewa i żelaza. Szło to wszystko po amerykańsku, bo już 25. marca odbyło się poświęcenie, którego dokonał sam arcybiskup Ryan. Kazanie wygłosił sam arcypasterz po angielsku, a w polskim języku wygłosił słowo Boże ks. Kraus, proboszcz u św. Wawrzyńca we Filadelfii; pierwszą ofiarę mszy św. w tym kościele odprawił ks. Kopytkiewicz, proboszcz u św. Jana Kantego we Filadelfii. Prócz nich byli wszyscy inni proboszczowie z Filadelfii i Konfratrzy z naszych trzech domów. Dom według kontraktu miał być gotów na 15. maja, a po 21. maja miało się odbyć uroczyste zajęcie nowego gmachu. Front domu dla równości jest z tego samego kamienia, co kościół, a ściany boczne z cegły. Pomieścić się w nim może wygodnie 6-ciu lub 7-miu księży i dwóch braci.

Długu parafialnego na całej tej własności ciąży 37.000; dopóki nie spłaci się przynajmniej połowy, nie będzie można myśleć o wykończeniu kościoła.

Praca we Filadelfii z początku była okropna, bo lud był bardzo zaniedbany. Daleko mieszkali od polskich kościołów, a do angielskich nie chodzą, boj nie rozumieją słowa Bożego. Było wśród nich dużo takich, co się nie spowiadali po kilka i kilkanaście lat. Policya miała z nich znaczne dochody, bo z powodu pijaństwa były częste bójki, a każda taka bitwa kończyła się masowem aresztowaniem. Winowajcy ci płacili zwykle od 12-tu do 25-ciu dol. kary; a takich wypadków było po każdej wypłacie kilka. Dziś już znacznie lepiej, jeśli patrolka policyjna zajeżdża w okolicę polską, to najczęściej po Rusina, którzy dość licznie mieszkają pomiędzy naszymi rodakami z Galicyi. Ustało zresztą to pijaństwo po części i poniewolnie, ponieważ obecny rok jest dla obcokrajowców bardzo ciężkim z powodu wyboru prezydenta.

Ks. Jerzy Głogowski.

Sprawozdanie z misyi za rok 1907.

O misyach pierwszego półrocza uprzednio już była mowa, pozostaje zdać sprawę z prac misyjnych w późniejszych miesiącach.

Byliśmy jeszcze na Podlasiu, gdy na wszystko prosił i błagał ks. proboszcz Andrzej Iwanczyszak o misyonarzy dla W a r ę ż a, w archidyecezyi lwowskiej. Już dawniej pisał o tem, ale nie można było prośbie zadośćuczynić, ale teraz, ponieważ niebawem miała się odbyć wizytacya kanoniczna, już nie podobna było dalej odkładać. Parafia Waręż liczy mniej więcej 2500 dusz, rozsianych po 13 wioskach. Dawali tu misye ks. Superyor z Witkowa Konieczny i ks. Odrobina w dniach 11.—16. maja.

W pierwszych dniach czerwca wróciliśmy z Podlasia. Wkrótce po powrocie, bo jeszcze w tym samym tygodniu musieliśmy się podjąć nowej misyi w gubernii piotrkowskiej, mianowicie w K a m i e ń s k u u ks. Jankowskiego, dawniejszego wychowanka misyonarzy ze seminaryum dyecezyalnego we Włocławku. Kierownik trupy misyjnej, ks. Rossmann, tym razem pozostał w Krakowie. My więc we trzech: ks. Truszkowski, ks. Steinsdorfer i ja wyjechaliśmy rannym pociągiem z Krakowa dnia 8. czerwca i po zwyczajnych tarapatach przesiadań i rewizyi cłowych i paszportowych, z któremi już zresztą oswoiliśmy się dostatecznie, ruszyliśmy w kierunku Warszawy. Deszcz lał okropny. Przykro nam było myśleć o tem, że jeżeli on tak dalej trwać będzie, to uczęszczanie na misye będzie dla ludu ogromnie utrudnione. A deszczu coraz przybywało. Z ukosa siekł po szybach wagonu. Tak obfite strugi ściekały po szkle, że niczego, nawet najbliższych przedmiotów wzdłuż toru kolejowego niepodobna było dostrzedz. Nawet stacyi nie było widać i musieliśmy

się oryentować jedynie słuchem z nawoływań konduktorów. Przejechaliśmy przez Częstochowę, minęliśmy Piotrków, jeszcze tylko jedna i druga stacya, jeszcze Radomsk, tak mile zapisany w pamięci naszej, a zaraz będzie Kamieńsk.

Nie przypuszczaliśmy nawet, żeby nas mógł na dworcu ktoś oczekiwać. Zdumieliśmy się, gdy ze strumieni deszczowych, które zasłaniały nam wszelki widok, wysunęły się ku nam ręce witające nas z radością. Ks. kanonik Jankowski sam przybył po nas do kolei. Była też garstka tych, którzy w następnych dniach udział brać mieli w misyi. Ujęło to nas nadzwyczajnie, na samym wstępie. Ale nie było co zwłóczyć, bo ulewa wcale się nie mitygowała a do właściwego Kamieńska od stacyi jeszcze parę kilometrów. Czemprędzej nas więc wsadzono i zapakowano do krytego powozu, w pośpiechu zasypano kwiatami i bukietami, i za minutę już byliśmy w drodze do celu. Nic, kompletnie nic nie widzieliśmy po drodze, tylko kałuże i błoto.

W tym samym dniu oczywiście nie można było zrobić uroczystego rozpoczęcia misyi, bo jakkolwiek nieco parafian było zgromadzonych w kościele, to przecież była to zaledwie dziesiąta część ogólnej ilości. Odprawił więc ks. wikary miejscowy krótkie nabożeństwo a po niem zapowiedział rozpoczęcie misyi na dzień następny. Było to tem bardziej wskazanem, że nazajutrz niedziela, a zatem i robotnicy fabryczni, wolni od pracy, będą obecnymi. Nam zaś czas zeszedł na oryentowaniu się w sytuacyi, na informacyach ze strony najzacniejszego duszpasterza, miejscowego ks. proboszcza Jankowskiego i jego wikaryusza, który gorąco zajmuje się tu organizacyą robotników na zasadach „demokracyi chrześcijańskiej".

Organizacya tego rodzaju tu naprawdę potrzebna. Kamieńsk ma przemysł, ma fabryki, ma robotników. Jak ćmy do lampy, tak do miejsc fabrycznych zawsze trafią przyjaciele cierpiącej ludzkości i niosą zawsze złote obietnice poprawy bytu, jeżeli już nie raju na ziemi. Trafili i tutaj. Kamieńsk od paru lat już był gniazdkiem socyalistycznem. Po-

zycyę tę uważano pomiędzy towarzyszami z pod czerwonego sztandaru za bardzo pewną. Rozgospodarowali się tu jak u siebie w domu. Szczególniej wszechwładnie rozpierała się partya polska socyalistyczna, pepesowcy. Nie brakło naturalnie esdeków (S. D.), demokracyi socyalistycznej, ale pepesowcy stanowczą mieli przewagę. Pod ich terorem znajdował się Kamieńsk cały. Oni dyktowali pod grozą browningów i zarządowi fabryki i robotnikom, oni stanowili o przyjmowaniu lub wydalaniu robotnika, oni decydowali o tem, kiedy fabryka ma być w ruchu, a kiedy ma stanąć, od nich miała zależeć wysokość płacy i długość dnia roboczego; tak wszechwładnymi czuli się panami, że zobowiązania się fabryk co do produkcyi miały się liczyć z ich zdaniem. Dobrze czuli wszyscy ciężar ich przygniatający, czuli dyrektorzy fabryk, czuli robotnicy, czuł cały lud, ale nikt nie śmiał dosyć energicznie przeciwko nim wystąpić, drżeli wszyscy, gięli się pod ich terorem. Robotnicy wstępowali w ich szeregi, zapisani byli do partyi, nie tyle z przekonania, ile raczej z bojaźni, należeli do ich związków zawodowych, płacili haracz miesięczny i grosz agitacyjny nie dlatego, żeby pragnęli urzeczywistnienia utopii socyalistycznych, ale wyłącznie dlatego, że z przerażeniem patrzeli na innych lub słyszeli o nich, co także nie chcieli tego uczynić a za to nazajutrz robotę postradali lub kula browningowa przeszyła ich skronie, a żona i dzieci zostały bez kawałka chleba.

Ale urabiała się już przeciwko nim opinia ogółu. Ciężkiem, nieznośnem, wprost znienawidzonem było już oddawna ich jarzmo dla wielu. Nie zaniedbali też księża, zwłaszcza ks. proboszcz, otwierać oczu wiernych na zgubne zasady i środki socyalizmu, a ks. wikary już od pewnego czasu pracą organizacyjną starał się czynić ich zbędnymi. Sami kompromitowali się na każdym kroku gwałtami, które wstręt i oburzenie budziły, jeżeli nie na ustach, to bądź co bądź w sercu każdego uczciwego człowieka, kompromitowali się strasznemi dziejami Łodzi i tysiącami jej nieszczęśliwych robotników, borykających się z ostateczną nędzą, konających

od głodu, od rewolwerów, od bagnetu. Wszyscy wiedzieli, czyja w tem wina. A w bandytyzmie, w tem złowrogiem widmie, zmorą ciężącym nad każdem miastem i nad wsią każdą, wszyscy wyraźnie poznawali rysy rodzica, który choć wstydzi się teraz i wypiera ojcostwa swego, sam przecież wczoraj jeszcze zbroił go do walki z porządkiem społecznym, do mordów i gwałtów, do rzezi i rabunków. Niemal dnia nie było, któryby nowych nie przynosił wieści z najbliższej okolicy. W pierwszych dniach naszej misyi zdarzył się o parę kilometrów ohydny wypadek kradzieży i zabójstwa, dokonanego na pewnym młynarzu. Własność i życie ludzkie, to dwie wartości, które wskutek grasującej anarchii i bandytyzmu, nadzwyczajnie nizko upadły w cenie. Ale za mało byłoby tego jednego bohaterstwa zbrodni. Już nazajutrz mieliśmy się dowiedzieć o pewnej specyalności opryszków, operujących na pasie wzdłuż linii kolejowej wiedeńsko-warszawskiej a więc i tutaj. Z wielką zręcznością okradają pociągi towarowe, a wolą te, bo osobowe są zbyt pilnie strzeżone, to raz, a powtóre towarowe idą znacznie wolniej, co dla nich nie jest bez znaczenia. Otóż zmówi się szajka bandycka, kilku wśród jazdy pociągu wskakuje nań, zrzuca, co się zrzucić da: węgle, drzewo, wapno, deski, wogóle wszystko, co w otwartych wagonach się transportuje a zanim pociąg zajedzie do następnej stacyi, dzieło już dokonane, bandyci zeskoczyli z wagonu i w ukryciu czekają ciemności nocnych, aby pod ich osłoną na wóz pozbierać towary wzdłuż toru leżące; jeszcze lepiej, jeżeli spółka jest dosyć liczna, bo wtedy kilku zrzuca a reszta natychmiast podejmuje. Ale to, jakkolwiek idzie znacznie prędzej, to jednakże jest mniej bezpiecznem. Chciano światu oczy piaskiem zarzucić i rozpuszczono wieść, że tego rodzaju napady organizują się wyłącznie na kasy i rzeczy skarbu państwowego, tymczasem w całem Królestwie tak własność państwowa jak i prywatna są równie niepewnemi. W biały dzień czy w ciemną noc, na publicznym placu czy na własnych śmieciach — wszystko jedno, każdej chwili można się spodziewać ograbienia. Nietylko jutro, ale

już następna godzina przynieść może zarówno ruinę majątkową jak i utratę życia. Ta denerwująca niepewność mienia i życia nie może oczywiście jednać przyjaciół partyom przewrotu i anarchii. Natomiast liczba strwożonych z każdym dniem się zwiększała. Taki stan umysłów zastała nasza misya. Muszę wszakże dodać, że nie jest to miejscowość wyłącznie fabryczna. Do parafii należy także dużo wsi i w czasie nabożeństw, a więc i w czasie misyi w dużym, przestronym kościele, niedawno wybudowanym, przeważała ludność wiejska.

W środę dnia 12. czerwca dochodziła do końca pierwsza połowa misyi. Była to serya żeńska. Rzecz dziwna; w agitacyi bezbożnej brały aż do ostatniej chwili udział i kobiety, i niejednokrotnie w zaciekłości partyjnej przeszły mężczyzn. Ale dziś w środę, są i one w kościele. Zaglądały i dni poprzednich, posłuchały jednego i drugiego kazania misyjnego, zastanawiały się, ważyły i liczyły; wreszcie po gruntownej rozwadze a może silniejszem porwane uczuciem religijnem, zdecydowały się na zwrot stanowczy ku P. Bogu, poszły do spowiedzi św. i dziś oczekując komunii św., klęczą i razem z innemi publicznie przepraszają P. Jezusa w Najświętszym Sakramencie. Do głębi wzruszony ks. kanonik niewysłowionej doznał pociechy, kiedy niektóre najzacieklejsze dotąd, te które dotąd najwięcej strapień mu sprawiały, właśnie dlatego, że poczuwały się do największej winy, zaraz po nabożeństwie pośpieszyły do niego i głośno ze łzami przepraszały jeszcze raz, osobiście, bo zawiniły bardziej niż ktokolwiek inny, więc nie chcą, nie mogą poprzestać na wspólnem przeproszeniu w kościele; chcą osobiście zapewnić o zmianie usposobienia, zaprzestać na zawsze i naprawić dane zgorszenie.

Nie zabrakło i zabawnych epizodów. Wprost bajeczne pojęcia ma lud o niebotycznej władzy Misyonarza. W sąsiedztwie, w Nowo-Radomsku, księża stawiali trudności dwojgu ludziom, bo zachodziła przeszkoda małżeńska. A skoro ksiądz im wreszcie powiedział, że w tym wypadku dyspensy nawet biskup udzielić nie może i trzebaby dopiero Ojca św. o nią prosić, oni wpadli na doskonały pomysł: „Ej, po co

dopiero do Ojca św. tak daleko jeździć czy pisać; kto wie, jak długoby to jeszcze trwało. Teraz są w Kamieńsku OO. Misyonarze, to jeżeli ojciec duchowny pozwoli, pójdziemy ich poprosić". I musiał ich dopiero ksiądz przekonywać, że jakkolwiek wielką mają władzę, to przecież jest ona cokolwiek mniejsza od władzy Ojca św.

Opowiadał nam o tem ks. Jankowski, wikaryusz z Nowo-Radomska i miło nam było od niego dowiedzieć się wielu szczegółów o tem, jak zupełnie inaczej teraz po misyi wygląda życie w ich parafii, jak zadziwiające owoce ona wydaje. Wszyscy pamiętają żywo misyę, zapomnieć jej nie mogą, a co najważniejsza, stosują się do tego, co słyszeli w kazaniach i wiernie dochowują obietnic wtenczas poczynionych.

Po południu rozpocząć się miała druga połowa misyi, dla mężczyzn. Zapowiedzieliśmy rozpoczęcie na godzinę 6-tą pod wieczór; tak późno dlatego, że chcieliśmy uwzględnić robotników fabrycznych, bo naprawdę o nich szczególniej się nam rozchodziło. Wiedzieliśmy dobrze o tem, jak bardzo zagrożone są ich dusze, jak omotali ich w sidła swoje menerzy partyjni. Drżeliśmy z obawy, że może względy różne przemogą, i oni z bojaźni, by ich ze strony przewrotowców jakie nieszczęście nie spotkało, może nie stawią się na nasze wezwanie. Już o 4-tej i 5-tej godzinie zaczęli się gromadzić w kościele i koło niego, ale to na razie tylko rolnicy z przyległych wsi i chałupnicy, wogóle tacy, których z fabryką i socyalizmem nic nie łączy. Odezwały się dzwony, wzywające na nabożeństwo. O 6-tej godzinie kościół olbrzymi wewnątrz robił rzadkie, imponujące wrażenie; parę tysięcy mężczyzn głowa przy głowie. Ks. dziekan Jankowski i wikary jego pierwszy raz w swym kościele widzą coś podobnego. Są i robotnicy, ale to przeważnie tacy, którzy znani są z poczciwości.

Wyszły nieszpory. Nadchodzą jedni pewnym krokiem, inni jakby chyłkiem i stają pod chórem lub za filarem; to ci, którzy dotąd się jeszcze wahają lub jeszcze przygnieceni

są całym ciężarem teroru. Po nieszporach kazanie pierwsze do mężczyzn miał ks. Truszkowski. Pod koniec kazania wyraził zdziwienie, że nie wszyscy się stawili na dzisiejsze nabożeństwo, zachęcał do jak najliczniejszego udziału oświadczając, że misya zarówno dla dobrych jak i dla złych i zastrzegając się w imieniu wszystkich Misyonarzy, że bynajmniej nie przybywamy z wyrazami nienawiści do złych, że nie myślimy wojny prowadzić ani nikogo upokarzać i potępiać, lecz dla wszystkich mamy słowa pokoju i miłości a, że radzibyśmy jak najwięcej rybek i mniejszych i grubszych nałowić do sieci Chrystusowej, to już to taka słabość misyonarska, której niema się co dziwić. Ponieważ zaś szczególniejszą radość sprawia nam ułowienie większych ryb, przeto też im większym kto grzesznikiem się czuje, z tem większą miłością będzie przez nas przyjęty. Wkońcu wyraził nadzieję, że zapewne jutro przybędą na misyę i ci, których dziś tu niema. — Zaśpiewali pieśń wieczorną i rozeszli się do domów swoich, bo też już była blizko 9-ta godzina wieczorem. Nazajutrz opóźnić się musiały nasze nabożeństwa cośkolwiek, bo zrana odbył się pogrzeb o godz. 5-tej. Po nim dopiero o godz. 7-mej msza św. cicha, podczas której śpiewano godzinki. Potem modlitwy poranne i krótkie rozmyślanie z ambony. To trwało do godz. 8-mej. O 8-mej godzinie rachunek sumienia, który zrobił ks. Truszkowski. Zaraz potem o godzinie 10. odprawiłem sumę, po której ks. Steinsdorfer powiedział kazanie o sakramencie pokuty. Dwa te poranne kazania miały przygotować do spowiedzi św. Po południu spowiadaliśmy już, bo widzieliśmy, że trzeba czemprędzej rozpocząć, jeżeli wszystkich chcemy wyspowiadać w przeciągu trzech dni. O godzinie 4-tej były nieszpory, a po nich miałem kazanie na temat „Zasady katolickie w życiu społecznem i domowem“. Spowiedzi słuchaliśmy (było tym razem wszystkich księży 16) aż do wieczora. O tych samych godzinach odprawialiśmy nabożeństwa i prawili kazania i dni następnych, t. j. w piątek i w sobotę, z tą różnicą, że na sobotę popołudniowe nabożeństwa wyznaczyliśmy na zna-

cznie późniejszą godzinę, niż dni poprzednich, bo na $5^1/_2$ a to dlatego, że w tym dniu urządziliśmy oddanie parafii pod opiekę Matki Najświętszej, chcieliśmy więc, żeby cała parafia, i mężczyźni i kobiety, i młodzi i starsi, brali udział w tym dziwnie pięknym akcie. Skończyło się kazanie i procesya, skończył się wspaniały akt ofiarowania uczestników misyi Matce Najświętszej, ku końcowi już się miała serya męska, jutro już mieli przystąpić wspólnie do komunii św. Ale wieczorem jeszcze wielu czeka na spowiedź św. Długo już spowiadaliśmy, już ciemności zaległy ziemię, a coraz to inni proszą o spowiedź św. Dobrze już było po 10-tej godz., gdy zakończyliśmy pracę dnia.

Powiedziałem, że w pierwszym dniu zauważyliśmy brak wielu. Rzeczywiście z partyi rzadko kto przybył, z tych zaś, którzy uczęszczali na misye, w straszliwy sposób drwili sobie we fabryce. Ubliżające i bluźniercze ich wycieczki przybrały ostry charakter. Odgrażali się straszną zemstą tym, którzy ośmieliliby się wystąpić teraz z partyi. Misyę nazywali ogłupianiem ludzi a nas apostołami ciemnoty i zacofania. „Nie mogli sobie rady dać z nami nasi księża miejscowi (tak mawiali), to sprowadzili sobie gdzieś z zagranicy innych, aby im dopomogli w ogłupianiu mas“. Wściekłość ich już nie znała granic żadnych. Miotali się na wszystko, co święte, szaleli w swej nienawiści do Boga, Kościoła i do tych, którzy im jedno i drugie przypominali. Ale nic na tem nie zyskali. Więdły uszy od bluźnierstw tym, którzy w przewrotności jeszcze nie byli zaślepieni, owszem ten piekielny jad zraził ich i nazajutrz przerażeni, że śmieli wczoraj takich bluźnierstw słuchać, czemprędzej pośpieszyli do kościoła na misyę przebłagać P. Boga. Z każdym dniem mieliśmy więcej słuchaczy, z każdym dniem ci słuchacze śmielej oświadczali się za porządkiem, nakreślonym w dekalogu. Wielu już było po spowiedzi św., inni o nią prosili, ogółem przystąpiło do sakramentów św. 5000. Widzieli przywódcy partyjni, że w fabrykach coraz mniej uszu, nadstawionych na ich inwektywy, że szeregi ich topnieją, a wkrótce może sami zostaną. Wie-

dzieliśmy o tem dobrze, że najwięcej znaczy organizacya, a dopóki organizacye socyalistyczne czy to we formie związków zawodowych czy kasy chorych i t. d. nie będą zastąpione przez katolickie organizacye tego samego typu, na nic się nie przydadzą chwilowe choćby najbardziej płomienne zapały, dlatego usilnie im polecaliśmy a nawet jako obowiązek chrześcijanina w ich warunkach przedstawialiśmy wstępowanie do związków i kółek, powstałych na zasadach encykliki *Rerum novarum.* Tak bezwzględnie przyjęli wszystkie nasze propozycye, z takim wstrętem przypominali sobie wczorajszą jeszcze przynależność do obozu przewrotu, tak szczerze, tak niedwuznacznie, ochotnie i otwarcie to czynili, że sztab socyalistyczny nagle poznał, że stoi bez wojska. Dzieło łaski! Zgruchotana ich potęga, która jeszcze kilka dni temu karmiła ich butną pewnością siebie i świadomością władców, rozwiał się teror jak mgła przy pierwszych promieniach słonecznych, tak że w cztery miesiące później z radością prawdziwą mógł nam ks. dziekan Jankowski powiedzieć podczas misyi w Srocku odprawionej, że wszyscy trwają niezłomnie w postanowieniach misyjnych, a z dawnej świetności socyalizmu pozostało zaledwie 15 zdecydowanych adeptów, którzy wszakże są tak zupełnie opuszczeni i izolowani, iż żadnego wpływu nie wywierają.

W tym samym dniu, w którym kończyliśmy misyę w Kamieńsku, rozpoczynali ks. Rossmann, ks. Konieczny i ks. Odrobina inną we wschodniej Galicyi, mianowicie w Darachowie w dekanacie i powiecie trembowelskim. Trwała ona od 16. do 20. czerwca. Ks. Konieczny i ks. Odrobina wrócili po tej misyi do domu, ks. Rossman zaś pośpieszył połączyć się z ks. Truszkowskim i ks. Steinsdorferem, aby na ich czele prowadzić pracę na Podolu rosyjskiem, w Brahiłowie, niedaleko Kamieńca Podolskiego. Tu pracowali od 21. czerwca aż do 1. lipca. Ks. Steinsdorfer, wracając stąd do Białego Kamienia, zapewne nie przypuszczał, że to była ostatnia jego praca misyjna za kordonem.

Nastąpiła potem w misyach niespełna dwutygodniowa przerwa. A po niej nowa misya w Krakowskiem, w Regulicach, od 14—19 lipca. Było nas tutaj trzech, ale znowu inaczej dobrani: ks. Rossman, ks. Król Stefan i ja. Przybyliśmy w chwili, kiedy umysły przechodziły ostatnie dreszcze gorączki agitacyi politycznej. Niedługo bowiem przedtem były wybory do Rady Państwa. Z całym wysiłkiem prowadzona była z obu stron agitacya przedwyborcza. Regulice należą do okręgu wyborczego Chrzanów, a w nim, zdawało się czerwonym, że są oni panami niewątpliwymi. Wszakżeż ponieśli klęskę na całej linii, bo kandydat ich nie przeszedł przy wyborach, pomimo nadludzkiej forsy, z jaką starali się go przeprowadzić. Koncentracya narodowa odniosła zwycięstwo. Pomimo zwycięstwa żywiołów trzymających z narodem i Kościołem — gorączkowa, namiętnie prowadzona agitacya z obu stron, sprawiła niejednemu duszpasterzowi niesłychaną przykrość. Jeszcze się nie uspokoiły umysły, kiedyśmy przybyli do Regulic, jeszcze stan rozpolitykowania i wzburzenia nie przeminął. Szczególniej więc dobrem okazało się tutaj to, że zwykle rozpoczynamy misye seryą żeńską. Kobiety niewiele się interesowały polityką, mogły zatem łatwiej i wcześniej skupić się i przygotować na przyjęcie łask Bożych, bo „nie we wzruszeniu Pan", a mężczyźni mieli tymczasem namyśleć się i ochłonąć. I rzeczywiście cieszyliśmy się szczerze gorącym ich udziałem w misyach. Przychodzili nie tylko tacy, co w miejscu są zajęci na własnem gospodarstwie, ale i inni którzy pracy i zarobku gdzieindziej szukać muszą, bo ojcowizna nie dosyć dostarcza środków do życia. Stąd wychodzą za pracą do kopalń do Tenczynka i do Jaworzna a wreszcie i do Prus. Co do przebiegu misyi, to nie różniła się ona bardzo od innych, dawniej już tu odprawianych kilkakrotnie przez naszych misyonarzy, o czem już *Roczniki* wspominały. Spowiedzi św. było mniej więcej 1900.

W pierwszych dniach sierpnia wypadło nam pracować w dyecezyi przemyskiej wśród stosunków, jakich zgoła nigdy nie mieliśmy jeszcze na misyach. Byłato misya jedna tylko,

ale ze wszystkiem odrębna od tych, które dotąd odprawiliśmy. Od pierwszej chwili aż do ostatniej godziny, od przygód podróżnych aż do najpoważniejszych epizodów, wszystko się tu inaczej składało, aniżeli dotąd przywykliśmy.

Ks. Józef Daszyk, proboszcz *w Polanie,* prosił o misyę dla swojej parafii. Polana to biedna, górska parafia, głęboko w Karpatach położona tuż obok źródeł dwu olbrzymich rzek: Sanu i Dniestru, ostatnia na pograniczu, za nią już Węgry, porozrzucana po urwiskach skalnych i wertepach, po żlebach i przełęczach. Liczy zaledwie 1.686 dusz, których ksiądz szukać musi po 31 wsiach pomiędzy Rusinami przynajmniej 10-krotnie liczniejszymi.

O godzinie 11. byliśmy w Przemyślu. Należało się przesiąść, bo ku południowi pojedziemy, aby zbliżyć się do naszej Polanki. Jedzie kolej znacznie wolniej, aniżeli na linii głównej, bo wiele trudności ma do pokonania. Za to tem więcej czasu pozostawia podróżującemu do podziwiania wspaniałych okolic. Niżankowce po drodze, które zresztą żadnego osobliwszego interesu nie budzą, a dalej Dobromil, słynne gniazdo starożytnego rodu Herburtów. Okazałe, olbrzymie ruiny pysznego zamku dziś jeszcze świadczą o dawnej potędze i bogactwach wygasłych dziedziców. Wije się kolej w licznych zakrętach i ciężko dyszy lokomotywa; jedne wzgórza musi omijać, na łagodniejsze się wspina. Chwilami widok Dobromila mamy zupełnie zasłonięty, ale teraz okrążywszy parę gór i wydostawszy się znowu na szerszy horyzont, zauważamy, że właściwie wcale nie wiele dostaliśmy się naprzód, bo znów mamy przed sobą Dobromil, ale stokroć piękniejszy: na tle czarnych lasów i gór wysokich bieleje zamek, a tam błyszczą kopuły w promieniach słonecznych. To monaster OO. Bazylianów i nowicyat ich; tutaj to rozpoczęli OO. Jezuici 1882. roku reformę zakonu bazyliańskiego i stąd dopiero powoli rozchodziła się reforma i przyjmowała i po innych monasterach, w Ławrowie, we Lwowie, Krystynopolu, Krechowie, Żółkwi, Ułaszkowcach, Buczaczu, Podhorcach itd.... W tych ostatnich dopiero 1900. roku. Wkrótce widnokrąg się nam

bardzo zacieśnił; zniknął zamek średniowieczny, znikły kopuły monasterskie, przez pewien czas niema na co patrzeć, dosyć powszednim się wydaje krajobraz. Ale oto po lewej ręce otwiera się nowa panorama. Na wyniosłem stanowisku rozległe zabudowania, imponujące nie tyle rozmiarami olbrzymimi, co raczej harmonijnym zespołem budynku z otaczającą go przyrodą. To zakład wychowawczy i gimnazyum OO. Jezuitów pod Chyrowem.

Jadąc ciągle wzdłuż rzeki Strwiąża, wjeżdżamy w coraz wyższe góry, które gdzieniegdzie zbliżają się ku sobie tak, że kolej, zdaje się, z trudem zaledwie przeciśnie się pomiędzy niemi; raz w jednę stronę mamy rozległy, otwarty widok na cały świat Boży i na bogactwa Jego przyrody, a z drugiej wysoką skalistą ścianę, to znowu jedziemy tuż nad przepaścią, o której dno z szumem i hukiem grzmiącym rozbijają się wody rzeki. Ale horyzont się zaciąga, chmury się nagromadziły, ciemno się zrobiło nagle i deszcz rzęsisty zaczął padać. I humoru nie stało.

Wysiedliśmy w Ustrzykach. Rojno i gwarno na stacyi. Ustrzyki są miasteczkiem trochę handlowem, a więcej przemysłowem. Okolica ma dużo nafty, więc tu stanęły coś dwie rafinerye, oczywiście wcale nie w wielkim stylu prowadzone, ale są. To starczyło na wabika dla rasy semickiej i jest tu żydów stanowczo więcej, aniżeliby ich życzyć sobie można. Gdy wysiedliśmy, pewnie mieliśmy miny nowicyuszów w tej stolicy podkarpackiej, bo odrazu rzuciła się ku nam zgraja większych i mniejszych żydów, ofiarując nam swoje usługi. Podziękowaliśmy za tyle uprzejmości, bo czekały już na nas konie, przysłane przez ks. proboszcza z Polany.

Wybraliśmy się więc w drogę. Na gościńcu wcale żywy ruch kołowy, wożą drzewo, wożą piaskowiec z kamieniołomów, szuter itd., ale co nas zajęło, to bojki i hucuły, których spotykaliśmy już to grupami idących, jużteż pojedynczo. W bardzo brudnych guńkach, włosy długie, dziegciem czy starem masłem wysmarowane, szli częścią w ker-

pcach częścią boso każde z tłomokiem, widocznie za robotą w świat daleki.

Ale ta bita droga, którą się nam tak dobrze jedzie, idzie środkiem doliny pomiędzy dwoma pasmami gór. Jedno z nich z lewej strony, a drugie po prawej ręce nazywa się Żuków i ciągnie się jednym długim nieprzerwanym grzbietem górskim od źródeł Dniestru aż do brzegów Sanu pod Liskiem. Tam właśnie, za tem pasmem po prawej ręce, za Żukowem, leży Polana i my chcąc się do niej dostać, porzucić musimy wygodny gościniec i puścić się na przełaj w tę czarną masę borów i gór. Zjechaliśmy więc na prawo. Ruch ustał. Nikogo nie widać, my sami jedziemy.

Nagle wicher się zerwał, gwałtownie szarpnął drzewami. Deszcz spadł obficie. Zanosi się na coś więcej. Niepodobna dalej jechać. Prędko wpadliśmy do lasu. Woźnica też zjechał z drogi, wóz wciągnął pod dwa gęste świerki, sam schował się pod wóz. My poszliśmy w lesie pod drzewami szukać możliwego schronienia. Nad nami i tuż obok nas straszna burza. Nagle w jednej chwili się wywiązała i pokazała całą żywiołową moc swoją. Wiatry i wichry zawyły. Deszcz strugami zlewał się z nieba. Ciemno się zrobiło. Błyskawice oślepiająco jasne jedna po drugiej rozdzierały niebo, pioruny gwałtowne wstrząsały powietrzem i tak bezpośrednio po błyskawicach, że tylko patrzeć, kiedy uderzy w to czy tamto drzewo w najbliższem naszem sąsiedztwie. Mój płaszcz był już zupełnie przemoknięty, nie mogłem go włożyć na siebie, tem mniej, że kto wie, jak długo my będziemy musieli tu czekać. Rozciągnąłem go więc na kilku suchych gałęziach, a sam wsunąłem się podeń i oparłszy się o zbutwiały pniak, siedziałem w tej budzie, przypatrując się olbrzymim strugom wody spływającej z improwizowanego dachu nad głową moją i czekając, rychłoli też ta rozszalała burza się skończy. Byłem ciekawy, co też ks. Rossmann zrobił. O kilkadziesiąt kroków odemnie obrał sobie stanowisko pod rozłożystem drzewem, bo tam względnie sucho jesze było. Przechadzał się z początku ubrany w płaszcz

z podniesionym kołnierzykiem. Ale kiedy pioruny i błyskawice sypać się zaczęły jak z rogu obfitości, a od huraganu cała góra zawyła, położył się na ziemi, zwinął się w kłębek i tak wsiąknął w ziemię, że ledwie cośkolwiek ponad jej powierzchnię wystawał; obaj też odmawialiśmy koronkę z rzadką pobożnością. — Przebrzmiały grzmoty, jeszcze tylko deszcz pluszczy rzęsisty. Ale i ten ustał niebawem. Powychodziliśmy ze swoich kryjówek. Jakżeż się mile zdziwiliśmy, kiedy wyszedłszy z ciemnego boru, zauważyliśmy, że znów tak piękne zabłysło słońce. Jeszcze parę tylko minut jazdy pod górę i znaleźliśmy się na szczycie Żukowa.

Ale nie wiele mamy czasu na zachwyty. Nikną nam z przed oczu najpiękniejsze widoki, bo trzeba się z góry na dół spuszczać. Jeżeli poprzednia część drogi w górę była przedewszystkiem mozolną, to ta z góry na dół strasznie dokuczliwą, karkołomną. Drogą było to, co ścieki wód górskich sobie wyżłobiły. A stoki południowe Żukowa są kamienne. Po olbrzymich głazach, nieraz średnicy metra, i mniejszych i większych, wóz nasz prawdziwie piekielną jazdą skakał w dół. Aż litość brała patrzeć na biedne konie co chwila uderzane dyszlem i wstrzymujące z całej siły ciężar wozu. Nam żebra się chciały powyginać i ks. Rossmann utrzymywał, że choć dużo się natłukł na wózkach w Galicyi i na Bukowinie, to jednak tak zabójczej jazdy nie pamięta. Najmniej 10 razy wyskoczyłem z wozu, bo już już wóz się miał przewrócić i nas wysypać do przepaści. Wreszcie stoczyliśmy się w dolinę i już ostatnie promienie słoneczne igrały z wierzchołkami gór i drzew, kiedy przez Paniszczów, przez Chrewt, Leobrad i Wydrne dojeżdżaliśmy do Polany.

Jak na dziś pragnęliśmy przedewszystkiem spoczynku. Misya miała się rozpocząć dopiero na drugi dzień 2. sierpnia popołudniu. Zresztą już późny wieczór.

Nadszedł ten zapowiedziany początek misyi, godzina 4. Już przedtem coś trzy razy wszystkimi dzwonami dzwonili, ale jakoś nikogo nie widać na drodze. Zaglądam do kościoła raz, drugi raz i piąty; zaledwie kilkoro ludzi. Już $4^1/_2$.

Za długo byłoby zwlekać. Opuściliśmy ceremonie wstępne, bo i nie było ich przed kim odprawić. Wyszedł ks. proboszcz z nieszporami. Sądziliśmy, że w czasie nieszporów się zejdą. Naumyślnie kazaliśmy organiście grać jak najdłuższe nieszpory, żeby tymczasem lud miał czas się zejść. Ja miałem powiedzieć kazanie wstępne. Już kończą się nieszpory, Nie będzie do kogo mówić. Najwyżej 40—50 ludzi w kościele. Czy inni jeszcze przyjdą? Może będę w połowie kazania, może już je będę kończył i wtedy poprzychodzą inni i bez słowa Bożego będą musieli wracać do domu. Próżne były te obawy! Więcej niż godzinę mówiłem, ani jeden człowiek nie przybył ponadto. Niesłychanie przykro mi się zrobiło na ten widok ruskiej obojętności. Wyraziłem im to bez najmniejszej ogródki. Stałem się cierpkim w słowach, ale równocześnie dodałem i słowa zachęty, prosząc na wszystko, żeby jutro z całą pewnością zjawili się na misyach ci, co dziś tu są, żeby zaraz, skoro tylko wrócą do domu porozpowiadali wszystkim i wszędzie, jaka to misya i czego od nich chcą Ks. Ks. Misyonarze i żeby ich namówili i z nimi przybyli do kościoła. Nazajutrz ks. Rossmann z rana miał to samo. Było ich już cośkolwiek więcej, ale nie tak, żeby miejsca zabrakło w kościele. A ten bynamjniej nie jest nadzwyczajnie wielkim. O ile wnosić można na oko, pomieści mniej więcej 1000 osób. Raz gromiliśmy ich, to znów prosili i błagali, raz chwaliliśmy gorliwość obecnych i zaraz potem wykazywaliśmy naganną obojętność tych, co dla jakiejbądź błahej przyczyny opuszczają kościół i nabożeństwa. Rozruszali się wszcie tak, że jak z początku ks. proboszcz za nich się wstydził przed nami, tak później nie mógł się dosyć nadziwić, skąd tyle gorliwości wzięło się u jego parafian. Ale skoro już raz w większej ilości przyszli na misyę, to chcieliśmy obecność ich dobrze wyzyskać i bojąc się, że może drugi raz już ich nie dostaniemy, mawialiśmy i nadprogramowe nauki do nich. Raz, zdaje mi się, było to w niedzielę, ks. Rossman miał w kościele kazanie. Ponieważ ludu było niezwykle dużo, zrobił z nimi rachunek sumienia. Nie

chciał, żeby małe dzieci słuchały jego słów, a i tak dla dorosłych trzeba było miejsce zrobić w kościele, musiały więc dzieci wyjść. Skorzystałem zaraz z tej okazyi i dzieci wszystkie zgromadziłem na pięknym placu za kościołem pod lipą i tam pouczałem je tak długo, dopóki kazanie wewnątrz kościoła trwało. W rozmowie z niemi dowiedziałem się, że pomiędzy innymi obowiązkami czwartego przykazania u nich zapomnianym jest jeden, mianowicie, modlitwa za zmarłych rodziców. Nigdy się za nich nie modlą. Ponieważ cmentarz jest blizko, posłałem je zaraz, żeby każde poszukało grobu matki czy ojca czy kogo innego z blizkich i tam się pomodliło. Potem jeszcze wszystkie razem pod krzyżem cmentarnym głośno odmówiły pacierz za dusze wszystkich zmarłych. Obiecały, że odtąd zawsze wracając w niedzielę z kościoła pójdą się pomodlić na cmentarz.

Gdyby to można częściej tłumne i uroczyste nabożeństwa urządzać czy organizować manifestacye religijne w rodzaju tego, co my tu właśnie robiliśmy, to prawdopodobnie chłód, oziębłość, obojętność odrażająca, która wogóle cechuje lud nasz na Rusi, musiałaby ustąpić miejsca pewnej gorącości religijnej, ochoczości do Boga i Kościoła. Niestety stosunki miejscowe to uniemożliwiają. Ogromne obszary parafii łacińskich, dochodzące gdzieniegdzie do nieprawdopodobnej ilości 1000 km ^{2} utrudniają nadzwyczajnie pastoryzacyę nawet najgorliwszym księżom. Parafia Polana ma 1.686 dusz rozsianych po 31 wsiach. Jest wprawdzie księży w tej parafii dwu: Ks. proboszcz Daszyk, który rezyduje tu w miejscu, w Polanie i ks. Michał Huciński, rezydujący w miasteczku Lutowiska, aby do drugiej połowy parafii mieć bliżej. Buduje on tu kościół. Ruskich księży na tym samym obszarze jest natomiast, jeżeli się nie mylę, 13 czy 14, z 23 cerkwiami. W takimże stosunku pozostaje ilość parafian łacińskich do ruskich, t. zn., że ruskich jest dziesięćkroć więcej, niż łacińskich. Biedni ci ludzie mieszkają nieraz o kilkadziesiąt kilometrów od kościoła. Takie np. Nasiczne i Caryńskie 31 km, z Chmiela i z Dydiowy 25 km, z Berechów

Górnych 34 km, a z Wołosatego aż 41 km. I to nie równej, bitej drogi, ale drogi górskiej, przykrej przez 10 szczytów i tyleż potoków. Jakżeż się dziwić, że ludzie ci jak rok długi nie zaglądają do kościoła i nie znają nawet księdza swojego. Ile razy się zdarzyło, że chcąc być na nabożeństwie w święto, dzień przedtem już wyprawili się do kościoła, żeby zdążyć na czas, a potem do domu wrócić nie mogli, bo deszcze spadły, potoki wezbrały i mosty porwały się na Sanie. Tak w lecie — a w zimie już zgoła niepodobna z takiej odległości i marzyć o kościele, bo wszystkie ścieżki zawiane, a zawieje tak straszne, że w jednej chwili zasypać mogą całą gromadę. Wyrasta więc i młode i stare pokolenie zdala od szkoły i kościoła w nieznajomości Boga i prawd wiary, a co za tem idzie, obojętnieje na sprawy religijne. — Jeden jedyny sposób na to wszystko, żeby pasterz sam szukał owieczek swoich. I czyni to. Ale i dla niego istnieją te same trudności, a choćby ciągle był w drodze i wracał do domu tylko na niedzielę, to i tak rzadko ktoby go oglądał i mało może pouczyć wobec tego, że tak ogromna ilość wiosek należy do jego parafii. — Tego rodzaju stosunki nie przedstawiają w całej okolicy tutejszej nic osobliwszego. Oto najbliższe sąsiedztwo Polany od zachodu to parafia Wołkowyja — obejmuje wsi 28, ma jednego tylko księdza, dusz 1.200, po jednej i po drugiej stronie nieobliczalnego Sanu, a niektóre wsi w odległości 20—25 km. Od północy Jasień — również 28 wsi. A od wschodu parafia Turka zapewne jedyna w swoim rodzaju na całą Galicyę i Austryę, bo liczy aż 88 wsi. Życie tych księży to prawdziwie misyonarskie życie. — To też nic dziwnego, że w pierwszej połowie XIX. wieku biskupi przemyscy urządzili Polanę we formie stacyi misyjnej i oddali ją Jezuitom, którzy po dwu ciągle podróżowali od wioski do wioski, od szałasu do szałasu i pouczali o najniezbędniejszych prawdach wiary. Jeszcze po dzień dzisiejszy przechowuje się tu pamięć tych Misyonarzy.

Ostatni dzień misyi wtorek 6. sierpnia schodził się z Przemienieniem Pańskiem. Jestto odpust w Polanie. Dziś

Komunia św. Razem z poprzedniemi przez te 5 dni mieliśmy 900 do 1000 spowiedzi i Komunii św. Dotąd wieść o misyi już miała czas zajść i do najdalszego zakątka. Przez całe 5 dni w tych górach i kniejach o niczem nie rozprawiano tylko o misyach. Opowiadał o nich i ten, co się czuł draśniętym, i ten, który podziwiał, i ten, którego sumienie się poruszyło na głos ks. Misyonarza, zarówno ten, co nauki odnosił do siebie, jak i ów, który wszystko stosował tylko do sąsiada swego. Dosyć, że od niepamiętnych czasów nie było we Wschodnim Beskidzie ważniejszego wypadku nad te misye i o nich wszyscy mówili, i Polacy i Rusini. We wtorek jest odpust w Polanie i zakończenie tych misyi. Przynajmniej teraz trzeba widzieć, co to misya, a co Misyonarze. Ruszyły się góry i od rana procesye napływały bez ustanku do Polany, płynęli i Rusini. — Taki natłok był w kościele i koło niego, że po raz pierwszy na tem miejscu ks. proboszcz użył coś podobnego. Chwilami mu się chciało wydawać, że to nie jego obojętni spokojni parafianie; nie poznawał ich. Obawiał się przedtem urządzać misye; był przekonany, że mu się nie powiodą; i sąsiedzi utrzymywali go w tem przekonaniu, że nikt nie przyjdzie na misye. Wszakżeż zrobił próbę. Ale kiedy w pierwszym dniu spostrzegł pustki w kościele, już sądził, że spełniają się obawy. Teraz jednakże przy pożegnaniu serdecznie dziękował Bogu za dzieło łaski Jego, dokonane nad duszami, jego pieczy powierzonemi.

W jesieni ubiegłego roku odprawiliśmy 8 wielkich misyi, t. zn. tak wiele, jak rzadko kiedy, ale w ten sposób, że prawie na każdej z nich byliśmy w innym komplecie dobrani, a już zwyczajne kółko misyjne w swym zwykłym składzie, to jest ks. dyrektor Rossman, ks. Truszkowski i ja, pracowało wspólnie tylko na jednej z nich, mianowicie we *Wyszkowie*. Byliśmy tu od 1—9 września. Tłumy nieprzejrzane. Mawialiśmy kazania przeważnie, prawie wyłącznie na polu, na placu olbrzymim przed kościołem. Te zbite masy ludu przypominały nam frekwencyę na Podlasiu, czasem na-

wet zdawało się nam, że ilością przerastają ją nawet. Chwilami liczyliśmy 40.000 i więcej słuchaczy. Wyszków, jakkolwiek 46 wiorst, a więc 7 mil oddalony od Warszawy, przecież uchodzi za jej przedmieście, a to dlatego, że wskutek niezmiernej łatwości komunikacyjnej milionowa Warszawa stąd pobiera siły robocze, a Wyszków u niej szuka pożywienia dla kilku tysięcy swoich robotników. I dlatego też, jakkolwiek sam Wyszków nie ma t. zw. wielkiego przemysłu, to przecież połowa jego ludności należy do stanu robotniczego i z nim dzieli wszystkie jego zalety i wady, dolę i niedolę. A jeżeli o niej mówię, to jasną jest rzeczą, że mam na myśli agitacyę socyalistyczną i wielką, bardzo wielką nędzę moralną. Ale pociechą dla nas było niewypowiedzianą, że ochoczo i tłumnie garnęli się nietylko do słowa Bożego, ale i do konfesyonałów. Głośno przyznawali się do niektórych przewinień, zwłaszcza ci, co oddawna zaniedbywali spowiedzi św., głośno też zapewniali nas, że dobre odtąd będą prowadzić życie, głośno również odgrażali się, że zburzą i rozniosą niektóre piekiełka pijaństwa i rozpusty, wstyd przynoszące Wyszkowianom katolickim. Korzystali z misyi nietylko miejscowi. Widywaliśmy wśród uczestników mnóstwo Kurpiów, współziomków Kiemliczów z „Potopu“. Przybyli oni z nad brzegów swej Narwi. Kurpie to gałąź ludu mazurskiego, osiadła od wieków w puszczach mazowieckich, ciągnących się od okolic miasta Ostrołęki ku granicom Litwy. Plemię to, zamieszkawszy ogromne puszcze, wyrobiło sobie w asymilacyi do ziemi, właściwy sobie charakter i sposób życia. Kurpie, posiadając mało ziemi zdatnej pod uprawę, zwrócili całą uwagę na plony, jakie puszcza dać im mogła. Dlatego też mniej byli rolnikami niż myśliwymi i bartnikami. Kurpie nie zbierali się w gromady wioskowe; rozrzucone ich osady dopiero później z wytrzebieniem lasów zaczęły się skupiać w większe wioski. Życie samotne, w szczupłem tylko kółku własnej rodziny, wyrobiło u nich charakter dziki i szorstki, uniesienia gwałtowne, niezwykłą zręczność ciała, wytrzymałość na wszelkie trudy. Zawołani łowcy ce-

lują jako strzelcy. W obecnych czasach, gdy dawne puszcze znikły prawie zupełnie, zubożeni Kurpie musieli zmienić sposób życia i trudnią się oprócz rolnictwa na marnych gruntach, ścinaniem dzewa, skrobaniem kory, węglarstwem, smolarstwem, wywózką, rybołóstwem. Zwyczajnym ich ubiorem sukmana z ciemno-siwego sukna z klapami granatowemi i stojącym kołnierzem, z tyłu fałdowana, przepasana czerwonym lub różnokolorowym pasem. Również kobiety noszą bardzo malownicze, o żywych barwach stroje. Jednem słowem, wszystko, co żyło w dorzeczach Bugu i Narwi, spieszyło na misye. Przez 8 pełnych dni pracowaliśmy w pocie czoła i skończyliśmy w niedzielę 8. września w święto Narodzenia Najśw. Maryi Panny, w dniu, w którym ks. Superyor Lewandowski rozpoczął w tejże samej dyecezyi płockiej inną pracę, mianowicie rekolekcye w seminaryum dyecezyalnem w Płocku. Księża sąsiedni przez cały czas bardzo chętnie pomagali w spowiedzi i codziennie kilkunastu sprawowało Sakrament pokuty św. Dwa razy nawet liczba ich dochodziła do 30. Mieliśmy tu w Wyszkowie i pracy wiele, ale i pociech nie mało: 7.500 spowiedzi i Komunii św., to chyba dostateczny dowód na jedno zarówno, jak i na drugie.

Wróciwszy z Królestwa do domu, dowiedzieliśmy się, że w krakowskiej dyecezyi jedna misya prowadzona przez naszych Ks. Ks. Misyonarzy jest na ukończeniu, a druga ma się rozpocząć. To misye w *Płokach* i w *Kościelcu,* w których brali udział ks. Superyor Konieczny z Witkowa, ks. Odrobina i ks. Steinsdorfer w dniach od 7.—20. września.

Zaraz następny miesiąc przyniósł nam trzy pracowite misye. Pierwszą z nich odprawiliśmy w dyecezyi krakowskiej w *Babicach* od 5.—13. października: Ks. Truszkowski, ks. Steinsdorfer i ja. Jednakże nie mogliśmy wszyscy trzej jej dokończyć, bo tu zakończenie miało być w niedzielę 13. października, a na tę samą niedzielę zapowiedziane było rozpoczęcie misyi w *Srocku,* w gubernii piotrkowskiej. Przybył więc z Nowej Wsi ks. Stefan Król i z Krakowa ks. Odrobina do Babic, a ks. Truszkowski i ja w sobotę pojecha-

liśmy do Królestwa. W Częstochowie połączyliśmy się z ks. Superyorem Buchhornem, który objął kierownictwo misyi. Dosyć powiedzieć, że mnóstwo z parafian tutejszych pracuje w Łodzi, że połowa ich wskutek ruchów rewolucyjnych postradała tamże pracę, że komunikacya pomiędzy Srockiem a Łodzią jest bardzo żywa, bo i nietrudna. (wieczorami widywaliśmy łunę bijącą od Łodzi), aby dać pojęcie, jakie prądy mogą nurtować w sercach i duszach tych, nad którymi tutaj pracowaliśmy. Trwała ta misya od 13.—20. października, a kończąc ją z rezultatem 5.200 spowiedzi i komunii św., znowu musieliśmy się rozdzielać z tego samego, co tydzień temu, powodu. Został więc ks. Truszkowski na miejscu na niedzielę, a my, ks. Buchhorn i ja pojechaliśmy w sobotę 19. przez Skierniewice, przez Łowicz, Kutno i Łęczycę do *Wartkowic*. Ks. Truszkowski nadjechał w poniedziałek. Ta misya dała Jeske-Choińskiemu asumpt do napisania artykułu w „Wierze“ warszawskiej o pracy duchowieństwa nad ludem. W okolicy grasuje herezya maryawityzmu. Tu w Wartkowicach zdecydowanych maryawitów niema, ale są sympatycy, a to dlatego, że był tu dawniej, przed obecnym ks. proboszczem Bącalskim pewien ksiądz, który, pełen gorliwości i zacności osobiście, dał im się usidlić i należał całą duszą do nich aż do potępienia herezyi tej przez Stolicę Apostolską. Cofnął się wtenczas. Ale wielu z prostaczków nie może tego zrozumieć, dlaczego dziś im się zabrania i surowo zakazuje takich rzeczy, jakie jeszcze nie tak dawno temu propagował ten zacny, przez nich uwielbiany i stokroć wyżej stawiany nad innych kapłan, ten, którego oni i cenili i cenią jak świętego. Dali się jednak przekonać. Odrzucili od siebie, co ich łączyło i w jakikolwiek sposób przypominało im herezyę i maryawitów, pooddawali medaliki mankietnicze, paski tercyarskie, szkaplerze i t. d. jako to, co dane im, poświęcone i włożone na nich przez odstępczych księży maryawitów było poniekąd a nawet dosyć powszechnie uchodziło za odznakę pewnej przynależności do nich. Długo się wahali, wreszcie zdobyli się na krok stano-

wczy, porzucili wszystko i poszli do spowiedzi. — Ogółem spowiedzi św. liczyliśmy w dniu 27. października, tj. w ostatnim dniu misyi wartkowickiej, przeszło 2.900. Przystąpili też do Sakramentów św. właściciele Gostkowa i Neru, należący do tutejszej parafii, pp. Radoszewscy, którzy zresztą gorący udział brali w całej misyi, uważając to sobie za ścisły swój obowiązek, żeby pod każdym względem przyświecać dobrym przykładem tym, którzy w jakibądź sposób do nich należą.

Wyjechaliśmy z Królestwa tym razem po to, żeby już nigdy doń nie wrócić. Zrazu bowiem zakaz ministeryalny wskutek starań patryarchy Eulogiusza zabronił „agitacyi religijnej katolickim Ks. Ks. Misyonarzom“ w Chełmszczyźnie, w lubelskiej i siedleckiej gubernii czyli na Podlasiu, niezadługo zaś potem wogóle wzbroniono nam przyjazdu w granice Królestwa Polskiego i Imperyum rosyjskiego. I tak planowane i już obiecane z naszej strony 2 misye w Warszawie, jedna w Kaliszu, 3 w Piotrkowskiem, kilkanaście w dekanacie mławskim upadły zupełnie, musieliśmy je odwołać.

Były pod koniec roku zeszłego jeszcze dwie misye, jedna w *Woli Rzędzińskiej* pod Tarnowem od 17.—24. listopada, gdzie pracowali ks. Rossmann, ks. Truszkowski i ks. Steinsdorfer, a druga w *Mielcu* także w dyecezyi tarnowskiej. Urządzona na 4 stany przy udziale ks. super. Tyczkowskiego, ks. super. Krzyszkowskiego, ks. Truszkowskiego i ks. Steinsdorfera trwała ona od 1. — 12. grudnia. Dla ks. Steinsdorfera była to ostatnia wielka misya, odprawiona na ziemi polskiej i w ogóle na gruncie starego świata. — Dokładnych wiadomości o tych dwu misyach podać nie mogę, muszę poprzestać na tej kronikarskiej notatce. Nie brałem w nich udziału, bo rekolekcye ludowe trzymały mnie na uwięzi na Kleparzu.

Ks. W Szymbor.

List Siostry Moniak do Redakcyi.

Shanghai, 23. kwietnia 1908. r.

Czcigodny Ks. Redaktorze!

Łaska Pana Naszego n. z. b. z n.

Pod wrażeniem przeczytanych opisów i sprawozdań z misyi, odbytych na Podlasiu, postanowiłam przy pierwszej wolnej chwili, napisać do Czcigodnego księdza Redaktora, dziękując Mu za pamięć o mnie przez przesyłanie mi od czasu do czasu „Roczników", z których się dowiaduję, ile to dobrego czyni się w kraju dla chwały Pana Boga.

Spodziewam się, że od czasu do czasu Czcigodny ks. Redaktor prześle mi znowu numer „Roczników", bo trzeba być na obczyźnie, by zrozumieć, jak się to ceni, choćby najmniejszą drobnostkę, która tchnie kątem rodzinnym. Jako dowód mej wdzięczności niech będzie list niniejszy. Zrobimy dziś wycieczkę do jednego z domów siostrzeńskich, a ponieważ prawie wszystkie temi samemi dziełami się zajmują, da to zupełne pojęcie o pracy misyjnej, powierzonej tu naszemu Zgromadzeniu.

Wybieramy się więc pięknym statkiem „Pekin" ze Shanghaju do Ning-Po, położonego w prowincyi Cze-Kiang. Siostry tu mają dwa zakłady: jeden w dzielnicy europejskiej dla mężczyzn i chłopców, drugi w głębi dzielnicy chińskiej, gdzie kobiety i dziewczęta, niemowlęta i chorzy z miasta są przedmiotem starań Sióstr.

Kto nie widział Chińczyków zblizka, nie może mieć pojęcia o ich życiu, to też naszą wizytę odbędziemy bardzo szczegółowo. Do domu św. Dziecięctwa udać się trzeba w lektykach t. j. w krzesłach, niesionych na ramionach czterech tragarzy, inaczej europejczyk nie przejdzie tutejszych ulic, tak są wązkie, brudne, tysiące roją się w nich jak

pszczoły w ulu lub mrówki w mrowisku. Żeby wyminąć licznych tragarzy, niosących na długich kijach bambusowych pudła, kosze, wodę, różne odpadki domowe, trzeba być bardzo zwinnym, można łatwo otrzymać dobrego szturchańca lub tusz z zawartości wiader. Budować się należy cierpliwością przechodniów, którzy wszystkie te niemiłe niespodzianki przyjmują z uśmiechem i o ile mogą, usuwają się z drogi przeciążonym i tak tragarzom. Ulice mają nieraz 4 stopy szerokości, to też z krzesłem zaledwie można przejść pod murami domów. Po 20 minutach drogi od dzielnicy europejskiej aż do wnętrza przedmieścia chińskiego, przybywa się na czystą, piękną ulicę, wzdłuż której z obu stron ciągnie się mur, po jednej stronie to dom Sióstr, po drugiej dom, gdzie biskup, Mgr. Reynaud, z Misyonarzami mieszka. W czasie rozruchów bokserów w r. 1900. ulica ta była przepełniona rozwścieklona ludnością, która się tu zgromadziła, by zniszczyć te dwie misye i czekała tylko na znak umówiony; jedynie pomoc, przysłana przez mandaryna, ocaliła Siostry od niechybnej i okrutnej śmierci. Wchodzimy teraz do domu Sióstr. Poza murem kilka dziedzińców z klombami świeżych i rozkosznych kwiatów i zielonych trawników. Bije tu w oczy kontrast pomiędzy niechlujstwem przebytych ulic. U wnijścia kaplica z całem zamieszkaniem dla Sióstr, reszta budynków przeznaczona na różnego rodzaju dzieła, któremi się tu zajmują. U wnijścia „Dis-pensaire“, apteka dla ubogich, z poczekalniami dla kobiet i mężczyzn, tu przez $3^1/_2$ godzin codzień w części rankiem w części po południu schodzą się chorzy i otrzymują bądź potrzebne lekarstwa bądź opatrunki. Dalej żłóbek, gdzie się pielęgnuje około 30 dzieciaków od 2—3 lat, a następnie oddaje się je do św. Dziecięctwa. Powierza je się kobietom pod dozorem Sióstr. Sztucznie urządzone kołyski, zawieszone na długich kijach bambusowych, kołyszą się wszystkie razem za jednem poruszeniem.

Dzieci te oddają tu sąsiedzi lub przyjaciele, chroniąc je w ten sposób od śmierci głodowej lub sprzedaży poganom. Są to po największej części dziewczynki, bo chłopcy

zawsze są lepiej traktowani przez rodziców. Znanem to jest wszędzie, że Siostry nie odmówią nigdy przyjęcia tych istotek i że się niemi dobrze opiekują. Zwiedzamy teraz szpital dla kobiet, o którym niema nic szczególnego do zanotowania. Kolej na pracownię. Znajdujemy tu 200 dziewczynek, zajętych rozmaitą pracą. Malutkie wyrabiają różnokolorowe tasiemki i sznurki, szczególniej czerwone, które są używane do wplatania do warkoczy dziecinnych, większe robią koronki klockowe, hafty na muślinie i jedwabiu, inne wreszcie szyją ubrania i sporządzają przędzę do wyrobów jedwabnych. Wszystko przewyższają wyroby klockowe. Niektóre wyroby, jak materye, koronki, hafty, są przeznaczone dla magazynów paryskich, inne dla prywatnych osób, inne rozsyła się bądź po kraju, bądź do Anglii a nawet do Ameryki.

W drugiej sali znajdziemy około 60 dzieci kalek ciemnych, sparaliżowanych. Niektóre są bez nóg, dzięki niesumiennym matkom albo teściowym, często bowiem według zwyczajów tutejszych dziewczynka, jeszcze w kolebce zaręczona, zostaje oddaną swej nowej matce na wychowanie, a ta ściskając jej nóżęta bandażami, staje się przyczyną jej kalectwa. Dziewczątka takie są najczęściej skazane na głodową śmierć, to też litościwi sąsiedzi wiedzą, że Siostry się niemi pewnie zaopiekują. W pracowni tej ciemne przędą bawełnę lub tkają na małych warsztacikach i tak wszystkie te istotki w znacznej części zarabiają same na życie.

Dalej to szkoła katechumenek. Kobiety i dziewczęta zajęte są tu jedynie nauką i przygotowaniem do św. Sakramentów. Umieszcza się tu także kaleki i staruszki, aby mogły umrzeć po chrześcijańsku. Dalej zwiedza się rysownie, gdzie się sporządzają rysunki do haftów, wykonywanych w pracowni.

Zwiedzić wreszcie trzeba część poza domem, gdzie się znosi, młóci, przesiewa ryż, który się gotuje codziennie na 400 osób, zamieszkujących dom.

Inne dzieło, to niemowlęta, oddane piastunkom poza domem. Każdego 1-szego księżyca, kobiety, którym są po-

wierzone dzieci do wychowania, przynoszą te maleństwa do Sióstr, gdzie odbywa się egzamin, czy dziecię jest dobrze pielęgnowane, lub zaniedbane, czy go przypadkiem nie zamieniono na kalekę, wszystkiego bowiem od Chińczyków można się spodziewać, za pieniądz wszystko uczyni, a czytając sprawozdania umęczonych tu osób, zawsze się znajdzie fakt, że ktoś został zdradzony i zaprzedany przez swoich domowników katechistów i t. d. Wróćmy do tematu. Karmicielki dzieci otrzymują upomnienia i zachęty, a szczególniej miesięczną zapłatę i powracają do domów, niosąc maleństwa w koszach, na plecach, lub w inny jaki niewygodny sposób.

Koroną dzieł, Siostrom powierzonych, to odwiedzanie chorych po domach. Wioski są bardzo a bardzo zaludnione, gdzie w lecie dzieci umierają jak muchy; to też jest najpiękniejsze żniwo i nagroda za trud i zmęczenie, nieoddzielne od tych wycieczek.

Małą taką wycieczkę opisuje mi Św. Wincenta z Kinkiang: „Roku zeszłego ochrzczono u nas ojca rodziny z dwojgiem dzieci. P. Bóg dopuścił, że w kilka miesięcy przeniósł się do wieczności w sam dzień swej I-szej Komunii św. Żona jego była w szkole katechumenów i nie opuściła nigdy Mszy św. w niedzielę. Przedwczoraj powiedziano nam, że się znajduje u swej matki, poganki, i blizką jest śmierci. Nazajutrz rankiem wychodzimy z drugą Siostrą na jej wyszukanie. Z Cze-ly-pu było jeszcze jakich pięć lys, ale gorliwość o zbawienie tej duszy dodawała sił. Wiele „De profundis“ odmówiłyśmy, by ją jeszcze znaleźć żywą. Pan Bóg nas wysłuchał, znalazłyśmy ją dobrze usposobioną, płakała biedna z radości na nasz widok. W jednej chwili izba się napełnia ciekawymi, nie można było pouczać chorej przy tylu świadkach. Trzeba się usunąć do sąsiedniej izby. Na widok zaczarowanego koszyka z lekarstwami, które uzdrawiają wszystkie choroby, wszyscy się zbiegają i chora zostaje sama ze swoją matką i Siostrą Antoniną, która tymczasem przysposabia chorą do Chrztu św.“

Powrócimy teraz do Ning-Po, aby zwiedzić drugi dom Sióstr, dla mężczyzn. Jest to schronisko dla starców, kalek, ślepych, szpital dla chorych, szkoła dla chłopców, dom sierót i katechumenat. Wszyscy tu pracują według zdolności i siły fizycznej; sporządzają obuwie, dywaniki, maty, koronki, materye jedwabne. Do szpitala przyprowadzają Siostrom często więźniów po znanych chińskich torturach, któremi ich zmuszają do wyznania winy lub karzą za zbrodnie. Żołnierzy karze się 1.000 uderzeń bambusowych kijów za niesubordynacyę lub inne uchybienia w służbie. Przynoszą ich do Sióstr z odpadającymi kawałami ciała, z kośćmi pogruchotanemi; niepodobieństwem jest ich uleczenie. Stróże więzienni bez litości katują tych, co im się nie mogą opłacać. Nieszczęśliwe te istoty mają osłodzone ostatnie dni życia współczuciem i dobrem obchodzeniem, a często ich to wzrusza i usposobia do przyjęcia z ochotą nauki wiary, z nadzieją lepszego życia poza grobem.

Notatka ta da może pojęcie o zajęciach i pracach Sióstr w Chinach.

Ponieważ jesteśmy w Chinach, chcę tu opowiedzieć ciekawy chiński zwyczaj. Fakt ten wydarzył się w Chantong w pewnej tamtejszej wiosce. Aby go dobrze zrozumieć, trzeba wiedzieć, że w Chinach uroczyste zaręczyny łączą młodych nie tylko w tem życiu ziemskiem, ale i poza grobem. Otóż niedawno temu umarł pewien starzec, w krótkim czasie potem umarła jego żona. Ale nie można ich było pochować razem, bo 50 lat przedtem starzec był zaręczony z młodą dziewczyną, która po zaręczynach zmarła. Ma się rozumieć, że Chińczyk ożenił się z drugą, a trzej synowie mieli przy jego śmierci od 30 do 40 lat. Żeby jednak poza grobem cała ta sprawa była uregulowaną, trzeba było wpierw obchodzić zaślubiny, które wpierw nie przyszły do skutku. Wykopano więc kości zmarłej zaręczonej, włożono je do nowej trumny i przyniesiono z tryumfem do domu starca, tak jakby chodziło o żyjące osoby. Tu obchodzono najskrupulatniej wszystkie obrzędy zaślubin z petardami, muzyką

i ucztą. Starca i zaręczoną przedstawiały tabliczki, na których były wypisane ich imiona. Nagle wszystko się zmienia. Muzyka ustaje, grają tylko smutne arye, uczestnicy uroczystości nawpół pijani rozpoczynają płakać i ryczeć z boleści i żalu. Wszyscy przywdziewają białe ubrania na znak żałoby i wynoszą z domu naraz 3 trumny, poza któremi postępują trzej synowie starca płacząc i krzycząc: „Niestety, matko nasza, dopiero dziś przyszłaś do nas i oto cię już postradamy. Dlaczego tak prędko? „Co do trumny, zawierającej zwłoki ich prawdziwej matki, wcale nie zwracano na nią uwagi, jakby ta umarła nie obchodziła nikogo. Na obszernem polu wykopano mogiłę, spuszczono najpierw zwłoki starca, po prawej stronie na miejscu honorowem trumnę jego eks-narzeczonej, teraz jego żony, po lewej stronie położono trumnę jego żony istotnej, zeszłej teraz do drugiego rzędu. W ten sposób starzec posiada na drugim świecie dwie żony, synowie jego dwie matki, z których ta tylko, której nigdy nie znali w swem życiu, liczy się za ich prawdziwą matkę, istotna zaś nie zasługuje nawet na to, żeby po niej płakano. Takie to barbarzyństwa teraz jeszcze widzieć można w Chinach.

Ciekawe są niezmiernie zaślubiny pomiędzy żyjącymi, jeśli się odbywają w kościele. Raz urządzono ślub w naszej kaplicy podczas Mszy św. Nigdy podobnej komedyi nie widziano. W Chinach nikt nie jest tak zuchwałym, by powiedział, że ma zamiar się żenić lub wyjść za mąż. Czyni się to ze spuszczonymi oczyma i zniżonym głosem. Otóż dzień fatalny nadszedł. Przez cały czas ceremonii narzeczeni obróceni są do siebie plecami. Mają przystąpić do ołtarza, ale nikt nie rusza się z miejsca; dalejże matki perswadują, gromią, popychają, ciągną za rękawy, a biedny celebrujący musi się uzbroić w cały zapas cierpliwości. Młodzi narzeczeni jak z kamienia, wreszcie siłą wyciągnięto ich z ławek, szturchańcem w plecy posunięto ku ołtarzowi. Nowy kłopot, bo trzeba wydobyć dwa nieszczęśliwe „tak“; ani rusz, oboje milczą jak ryby, rozpoczyna się więc na nowo perswazye, zachęty,

szturchańce ze strony rodziny. Znowu Misyonarz czeka, powtarza i powtarza zapytania, aż wreszcie po 10 minutach dwa „sze“ („tak“) dają się zaledwie pochwycić. Ale ciekawsza jeszcze, gdy trzeba związać ręce, bo oboje wciągają prawą rękę w szerokie rękawy ubrań. Taki to zwyczaj chiński; robi się tę grymasy, bo na tem zależy szyk. Dosyć na dzisiaj o Chinach, zachowam trochę na inny raz, a teraz parę nowin, tyczących się Zgromadzenia. Siostra Nasza Czcigodna Wizytatorka i Przełożona naszego domu S. Carthy, odjeżdżają obecnie do Francyi i tam pozostaną do końca sierpnia, a może i dłużej. Jeśli w Zgromadzeniu znajdą się książki do nabożeństwa w języku niemieckim, byłabym za nie bardzo wdzięczną. Często tu mamy Niemców katolików, a nie mam im nic podać do przygotowania się do spowiedzi, kilka książeczek lub katechizmów oddałoby wielką przysługę tym biednym duszyczkom. Możnaby je posłać do Paryża pod adresem S. Carthy.

W lutym zabrał nam P. Bóg naszego kilkuletniego spowiednika ks. Ciceri, prawdziwego przyjaciela domu. Został on konsekrowany na biskupa w Kiangsi. Uroczystość odbyła się w Kinkiang 16. lutego b. r. Obecnymi byli Mgr. Jarlin z Pekinu, Mgr. Coqset z Czeng-ting-fu, Mgr. Ferrant z Kukiang.

Najbardziej wzruszającą była chwila, gdy przechodził nowokonsekrowany biskup wzdłuż katedry, by błogosławić wiernych; zatrzymał się bowiem dłużej przed grupą Sióstr. Czuło się, że to brat, który się modli za swoją bliską rodzinę, myślą i modlitwą objął nasze domy i nasze dzieła, że wzrok jego duszy spoczął nad Shanghajem, nad wszystkimi członkami, należącymi do Zgromadzenia, nad dyecezyą, tak niestety ciężko doświadczoną w ostatnich czasach. Tam to zamordowali bokserzy ks. Canduglię; Ks. Ks. Misyonarze z Shanghaju na przyszły tydzień przenoszą się do nowego domu. Mają tu piękną kaplicę, która służyć będzie mieszkańcom tej części miasta za kościół parafialny, bo w tej dzielnicy kościoła wcale niema. Zaraz po nowym przyszłym roku

przenosi się stąd i nasz dom centralny. Buduje się on tuż w pobliżu domu Ks. Ks. Misyonarzy. I tak wszystko nas opuszcza, na szczęście, że Pan Jezus nigdy się od nas nie wyprowadzi. Hôpital S-te Marie, fundacya O. O. Jezuitów, rozwija się bardzo dobrze. Od początku tego roku Siostry zaczęły przyjmować chorych. Jest to fundacya dla Chińczyków-chrześcijan. U nas zawsze te same kłopoty, a to z powodu wielkiej liczby lekarzy. Przychodzą kiedy im się podoba i ile razy na dzień uważają za stosowne. Każdy chory może mieć lekarza, który mu się podoba. Pielęgnowałyśmy tu w roku zeszłym 1.600 chorych, t. j. o 200 więcej niż w zeszłym roku. Liczba Sióstr jest pomnożona do 24, w każdym oddziale po dwie, zastępować się możemy, aby choć trochę korzystać z życia w Zgromadzeniu.

Posłałam do Paryża skrzyneczkę z 4 posążkami bożków. Są one brzydkie z najbrzydszych, ale ich zaletą jest to, że były czczone w rodzinach pogańskich. Te po nawróceniu są obowiązane oddać bożyszcze Misyonarzowi. Cztery te okazy przysłał mi ks. Fatiquet z Kinkiang, z oświadczeniem, że sam je zdjął z piedestałów, a zastąpił krucyfiksem.

Dochodzą nas tu wieści o prześladowaniach Polaków w Prusiech i w Księstwie Poznańskiem. Biedna nasza Ojczyzna, upokorzona we wszystkich zakątkach ziemi. Tu nikt się nie przyzna, że jest Polakiem. Pan Bóg czuwa nad każdą jednostką, więc i nad naszym narodem. Upokarza, ale zarazem podnosi, bo to w prześladowaniach wiara jaśnieje i w czyn się obraca.

S. Moniak
n. c. m. s. u. i ch.

Z działalności Sióstr Miłosierdzia

(według artykułu ks. A. Milona w Rocznikach, francuskich r. 1908. Nr. 2).

Głęboką wiarą i przekonaniem religijnem powinny natchnąć szerokie warstwy 2 rodzaje działalności Sióstr Miłosierdzia. Jeden odnosi się do słabych i wydziedziczonych, począwszy od niemowląt aż do starców, stojących nad grobem — to żłóbki dla dzieci, szpitale dla chorych, przytuliska dla starców i inne podobne instytucye miłosierne. Drugi rodzaj przeznaczony jest dla ludzi, którzy wchodzą dopiero w życie w pełnym rozwoju sił, którzy mają podjąć jarzmo pracy codziennej dla zdobycia środków do życia, którzy potrzebują podpory w opuszczeniu. Jeżeli to uważamy za szczęście, że mamy w ręku żłóbki i szpitale, z których jeszcze nie wykluczono ducha religijnego, to tembardziej pociesza myśl, że zdobyliśmy się na związki zawodowe, ożywione ideą chrześcijańską. Oto garść ciekawych i podnoszących wiadomości, otrzymanych z Domu Macierzystego Sióstr Miłosierdzia o związkach zawodowych nauczycielek prywatnych, krawczyń i urzędniczek, o stowarzyszeniach matek chrześcijańskich i o szkołach gospodarstwa domowego.

Nie ulega wątpliwości, że można zorganizować stowarzyszenia kobiet i panien bez wpojenia w nie idei przewrotnych i emancypacyjnych. Wystarczy się powołać na świadectwo J. Em. kardynała Richarda, który się bardzo żywo zajmował związkami zawodowymi kobiet; nie długo przed pożegnaniem się na zawsze z archidyecezyą paryską wypowiedział do stowarzyszonych słowa pełne zachęty: „Trzeba z gruntu odbudować społeczeństwo, a wasze stowarzyszenie pracownic chrześcijańskich może się w wielkiej mierze do tej restauracyi przyczynić“. Związki zawodowe przy ulicy de l'Abbaye wyrosły ze serc, wrażliwych na wszelaką nędzę, zrodziły się

w duszach, stworzonych do pracy, jednem słowem są dziełem Sióstr Miłosierdzia.

Siostry spełniają w tych stowarzyszeniach zadanie aniołów stróżów, choć związki zawodowe nie są ani żadnemi radami opiekuńczemi, ani bractwami, posiadają bowiem własną organizacyę i zupełną autonomię, rządząc się przez wydział, wybrany z własnego grona.

Obok pieczy duchowej zajmują się Siostry przygotowaniem terenu pod nowe związki zawodowe lub zależne sekcye, wspierają członków radą i podejmują starania, niemożliwe dla stowarzyszonych z powodu absorbujących i przykuwających do miejsca zajęć; tylko na to założyły Siostry związki zawodowe przy ulicy de l'Abbaye, żeby je wspierać pomocą i zachętą.

W wrześniu 1902 r. powstał związek nauczycielek prywatnych, szwaczek i pracownic w zakładach handlowych i przemysłowych. Zebrało się około 15 mniej więcej nauczycielek, pracownic i urzędniczek, które już poprzednio pouczono o organizacyi związków zawodowych, zjawiło się też kilka innych osób, interesujących się tą sprawą. Pan Dognin, stary przemysłowiec, przewodniczył obradom, a pan Guillebert, naczelny zastępca związku zawodowego urzędniczek, wygłosił jasny i prosty wykład dla zapoznania z organizacyą zawodową; ułożono także i uchwalono ustawy, wybrano radę i otwarto biura. Na mocy deklaracyi prefektury z 2. października 1902. r., otrzymał związek prawną podstawę egzystencyi. Obecnie liczy już stowarzyszenie 900 nauczycielek, 1.200 urzędniczek i 400 pracownic.

Związek szkoły gospodarczej, założony przed 3 laty, liczy obecnie 380 członków.

Każdy Związek pracuje oddzielnie w właściwym sobie zakresie, każdy ma osobną radę i prezydyum, osobne dni zebrań, specyalne kursa i biura umieszczeń, otwarte w pewnych godzinach; wspólnymi są tylko lokal i zarząd kasy. Celem związków jest stworzenie zawodowych stowarzyszeń, związanych ścisłymi węzłami miłości i wzajemnej pomocy,

nadto fachowe wykształcenie i obrona zawodowych interesów i polepszenia wspólnemi siłami warunków bytu dla kobiet pracujących. Z związkami nie łączą się żadne myśli polityczne, są one wyłącznie i jedynie zawodowemi.

Pracownice, wchodząc do stowarzyszenia, wnoszą tam także swoje zasady chrześcijańskie. Zresztą wzajemna pomoc, budzenie zamiłowania do pracy i powołania, nauka i dostarczanie lepszych środków do życia pracującym wśród trudnych warunków na chleb powszedni, akcentowanie solidarności i serdecznej miłości — to wszystko objawy i dowody przekonań wybitnie chrześcijańskich. Spełnianie i propaganda tych ideałów jest istotnie pracą nad przywróceniem Królestwa Bożego na ziemi wśród codziennej pracy.

Jeżeli powstaną liczne związki zawodowe, ożywione tym samym duchem, jeżeli zacne chrześcijańskie pracownice zorganizują się w zwarte stowarzyszenia po magazynach, biurach, pracowniach i innych posterunkach, to staną się bardzo znaczącą siłą społeczną. Powolna lecz systematyczna i wytrwała akcya z ich strony przyczyni się niezawodnie do odrodzenia socyalnego.

W zakres działalności zawodowej wchodzą: komisya projektowa, konferencye, kursa zawodowe, biura umieszczeń i prawnej porady, wreszcie komisya pośrednicząca między związkami.

Chociaż bez urzędowej nazwy istniała faktycznie komisya projektowa w radach związków zawodowych, nie zaprowadzano żadnego urządzenia bez poprzednich dyskusyi i wyjaśnień. Komisya projektowa nauczycielek funkcyonuje systematycznie: opracowuje się w niej wnioski do przedstawienia na kongresach związków prywatnego kształcenia. Związek nauczycielek umieścił w programie kongresów: wszelkie umowy, spoczynek niedzielny, stosunki wzajemne między stowarzyszeniami rodzin dla domowego wychowania a związkami prywatnego kształcenia, unormowanie pracy i t. d.

Krawczynie przez cały rok pracowały nad stworzeniem własnej pracowni do kształcenia, potem zajęły się sprawą

święcenia niedzieli. Stworzyły istotnie własną pracownię, a związek stał się w ten sposób przedsiębiorcą i szkołą zawodową dla młodych stowarzyszonych.

Pogadanki zawodowe odbywają się systematycznie. Panowie Perrin, Zeruheld, Cusset i pani Goyau-Felix-Faure wygłosili np. kilka wykładów o stowarzyszeniach i organizacyi związków zawodowych, pan Moquet, docent uniwersytetu, o znaczeniu społecznem kobiety, pan Perrin, profesor nadzwyczajny historyi o kwestyi wschodniej i geografii Macedonii, pani Goyau o Dantem i t. d.

Jedną z najwybitniejszych zalet związków zawodowych są kursa fachowe; związki mają bowiem prawo do urządzenia wszelkich prelekcyi, potrzebnych do wykształcenia i udoskonalenia zawodowego członków.

Pracownice mają kursa kroju, modniarstwa, szkołę wieczorną, naukę języków i t. d. Urzędniczki uczą się stenografii i pisania na maszynie, języka angielskiego i rachunkowości. Dział gospodarczy ma kursa gospodarstwa domowego, kucharstwa i prasowania; zresztą nauka gospodarstwa obowiązuje wszystkie panny, mieszkające w domu związkowym.

Nauczycielki, uczęszczające na kurs wyższy, muszą także słuchać we wtorki kursu normalnego. Program ich jest bardzo bogaty. Od 6 rano aż do $^1/_2 7$ wieczorem, dla przygotowania się do kursu wyższego i otrzymania patentu nauczycielskiego następują po sobie kolejno wykłady pedagogiki teoretycznej i praktycznej, psychologii, historyi, geografii, literatury, matematyki, fizyki i nauk przyrodniczych, języka angielskiego i niemieckiego, rysunków, muzyki i t. d.

W roku 1907. otrzymało 17 stowarzyszonych patenty nauczycielskie, a 22 w roku poprzednim, 8 otrzymało świadectwa stopnia wyższego.

Poza uzyskaniem dyplomów mają kursa niesłychane znaczenie ze względu na pogłębienie zawodowego wykształcenia.

Wprowadzono także naukę języka łacińskiego dla przygotowania się do bakalaureatu, który otwiera stowarzyszonym wstęp do gimnazyów.

Grupa przedmiotów z nauki religii uzupełnia wykształcenie.

Jak wydatnie działa biuro umieszczeń, wskazuje dostatecznie fakt, że w roku 1906. wyszukano zajęcie dla 360 nauczycielek, 240 urzędniczek i 160 służących.

Z pośród najużyteczniejszych stowarzyszeń zasługują na baczniejszą uwagę bardzo rozpowszechnione związki „Matek chrześcijańskich“, zostające pod opieką Sióstr Miłosierdzia zarówno we Francyi jak we Włoszech i Belgii. Cel i organizacyę tego stowarzyszenia podaje nam list ks. Lenertsa, kanonika i profesora w seminaryum duchownem w Liège, który jest dyrektorem tamtejszego stowarzyszenia:

„W roku 1894. założyłem razem ze Siostrami Miłosierdzia bractwo św. Anny, przyłączone do arcybractwa Notre Dame de Sion w Paryżu.

„Chodziło nam o skupienie matek z warstw ludowych, ażeby je pouczyć o ważności ich obowiązków względem mężów i dzieci, ażeby je przyzwyczaić do czerpania sił dla spełniania doniosłego zadania w spólnej modlitwie, w częstej Komunii św. i słuchaniu Mszy św.

„W każdy wtorek o godzinie 3 zbierały się razem dla modlitwy, nauki i adoracyi Najśw. Sakramentu. Zobowiązały się również wszystkie do udziału w pogrzebie zmarłej z bractwa, za którą się odprawia osobną Mszę św.

Wpływ tych zacnych matek jest bardzo dodatni, bo nie tylko same utwierdzają się w prawdziwej pobożności, ale oddziaływają także na swoje rodziny.

„W bractwie urządziliśmy 3 kasy, zostawiając jednak w korzystaniu z nich zupełną swobodę.

„Przed i po każdem zebraniu zajmują się kasą sekretarki w specyalnem biurze; do kasy oszczędności wkłada każda według woli i może każdej chwili znowu swe pieniądze podjąć; do kasy rekolekcyjnej wkłada pewna część stale jakąś kwotę; do kasy chorych płacą wszystkie po 1 franku na miesiąc, a honorowi członkowie uzupełniają co rok złożoną sumę.

„Członkiem zwyczajnym zostaje się dopiero po 40 roku życia, a po roku 65 traci się prawo do pobierania stałego wsparcia; jeżeli się jednak nadal wkłada po 25 centymów miesięcznie, to można i wtenczas jeszcze otrzymywać zapomogę, której wysokość rada oznacza.

„Aż do 65 roku życia pobiera każda ze stowarzyszonych w razie choroby po 2 franki dziennie, począwszy od czwartego dnia. Już od 10 lat istnieje ta kasa i mamy w niej obecnie złożonych 1.000 franków, a znaczna już liczba dziękowała Bogu za wsparcie, jakie stąd otrzymywała".

Szkoły gospodarstwa domowego, o których już wspomniano w poprzednim numerze, rozwijają się nadal pomyślnie, chociaż trzeba pokonywać niejedną trudność i usuwać przesądy. Zwykle zakład dla sierót w domu Sióstr Miłosierdzia jest zawiązkiem takiej szkoły. Dochodzące dziewczęta, patrząc na pracę sierót, niemal bezwiednie uczą się prania, prasowania i szycia bielizny, przedewszystkiem zaś kucharstwa. Trzeba też uznać chętną pomoc społeczeństwa w tym kierunku tak, iż dzieło to rokuje jak najlepsze nadzieje.

Dzieje Zgromadzenia w Portugalii.

(Dokończenie).

Odrodzenie i rozwój obecnej prowincyi portugalskiej naszego Zgromadzenia tak w Portugalii, jak i w Brazylii datuje się od generała Etienne'a (1843—74.) Był to człowiek opatrznościowy, który przeprowadził zupełną restauracyę Zgromadzenia po burzy rewolucyjnej we wszystkich krajach Europy. Najpierw zreformował dom macierzysty we Francyi, dostrajając ducha pierwotnego do wymagań czasu, skoro rewolucya i translokacya do nowego budynku za Ludwika XVIII. przerwała na lat kilkanaście tradycyę domu św. Łazarza. Utwierdziwszy przy pomocy ks. Eugeniusza Boré podwaliny Zgromadzenia na Wschodzie, w Algierze i Chinach, zabrał się do uporządkowania spraw Zgromadzenia w Portugalii i Polsce, rozwijając wszędzie niesłychaną energię i ducha inicyatywy. Do restauracyi zabierał się w sposób roztropny, używając przytem, gdzie było można, jak np. w Portugalii i protekcyi rządu francuskiego przez cesarzową Eugenię, żonę Napoleona III. Wszędzie liczył się z usposobieniem rządu, do którego jako generał Zgromadzenia najpierw się odnosił, odrzucając zrazu wszelkie propozycye uboczne i lokalne. W poprzednim okresie widzieliśmy, jak prowincya portugalska jak i wogóle inne występowały udzielnie wobec własnych rządów, nie podnosząc swej zawisłości od przełożonych generalnych. Tę taktykę zmienia teraz generał, ks. Etienne; sam pertraktuje z rządami i domaga się jasnego określenia praw i stanowiska Ks. Ks. Misyonarzy, o ile za jego rządów się gdzieś osiedlali. To wysunięcie na pierwszy plan osoby generała miało teraz ten skutek, że rządy dotrzymywały zobowiązań i przestrzegały przynajmniej pozorów ustaw wobec Zgromadzenia, a tem samem choć były i zawieruchy polityczne, nie ginął tak łatwo jak poprzednio kil-

kowiekowy dorobek całych generacyi Ks. Ks. Misyonarzy. Potężny wpływ Kościoła w Portugalii przedrewolucyjnej spowodował teraz straszną reakcyę ze strony liberalizmu i masoneryi, która dziwnym sposobem zakorzeniła się najgłębiej we wszystkich krajach romańskich. Zazdrosnem okiem spoglądali liberalni i wolnomularze na wszelki żywszy objaw



Ks. Miel, wizytator prowincyi portugalskiej.
(Klisza wzięta z »Roczników francuskich«).

życia kościelnego, a zwłaszcza na rozwijający się pod generałem Roothaanem zakon O. O. Jezuitów i Zgromadzenie Ks. Ks. Misyonarzy; z tem liczył się ks. Etienne. Jego zrestaurowana, a raczej powołana na nowo do bytu prowincya portugalska, to już nie owa stara, potężna we wpływy na dworze królewskim prowincya — to skromna garstka pracowników, którzy się ukryli po szpitalach lub próbowali odprawiać misye, byle nie budzić podejrzenia u wrogów i przeczekać chwilę próby. Wobec braku powołań i duchowień-

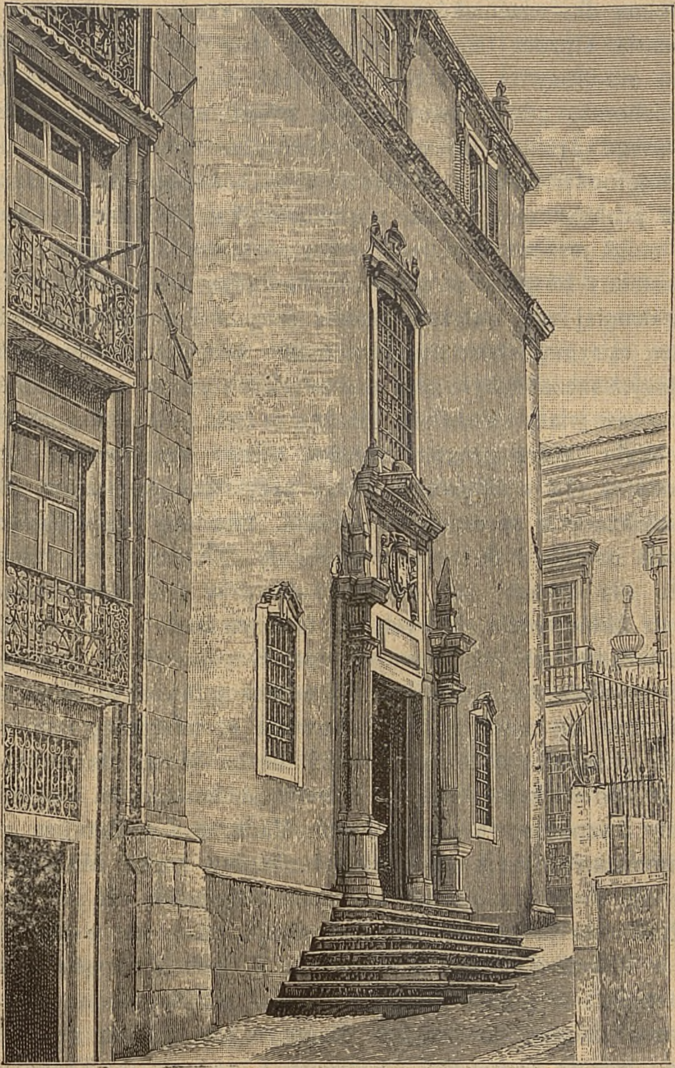
stwa w kraju, sprowadził ks. Etienne swoich rodaków i ci utorowali zwolna drogę Zgromadzeniu, lecz o ile nasza prowincya polska, prawie równocześnie z portugalską odnowiona przez wielkiego Generała, zdołała już dostarczyć własnych powołań, o tyle prowincya portugalska i brazylijska do dziś dnia jeszcze składają się przeważnie z konfratrów francuskich. Nawet Zgromadzenia Ks. Ks. Misyonarzy nie mógł ks. Etienne wysuwać na pierwszy plan i Siostry Miłosierdzia, otoczone świeżo aureolą swego poświęcenia podczas wojny krymskiej, torowały pospolicie drogę Ks. Ks. Misyonarzom, którzy później po nich, jak ich i chorych spowiednicy osiedlali się we wielu krajach, a zwłaszcza na Wschodzie, W taki sposób odbyło się i odnowienie Zgromadzenia w Portugalii, które w liście okólnym z dnia 1. stycznia 1858. zaznacza ks. Etienne w tych słowach: „Nieprzewidziana zgoła okoliczność dała nam poznać, że Bóg chce na nowo powołać do bytu prowincyę portugalską, która krom swego wizytatora nie liczy już dziś żadnych członków. Jedna z księżniczek portugalskich pragnie założyć w Lizbonie dom Sióstr Miłosierdzia. Zapytany o radę odpowiedziałem jej, że pod dwoma warunkami się na to zgadzam; mianowicie, by z Siostrami dla utrzymania w nich ducha powołania osiedlili się w stolicy Ks. Ks. Misyonarze, a powtóre, by rząd oficyalnie uznał i zatwierdził istnienie obydwóch rodzin św. Wincentego w kraju. Lecz jeszcze inna okoliczność utwierdziła mnie w tem, że Bóg sobie tego życzy; bo oto kilka miesięcy po wezwaniu nas wybuchnęła tam najpierw żółta febra, a potem cholera, która do dnia dzisiejszego się jeszcze sroży i wiele ofiar pochłania. I w tym czasie, kiedy zaraza była największa, wylądowali ks. Fougeray, przełożony nowego domu, ks. Sipolis, ks. Miel i pięć Sióstr Miłosierdzia w dniu 17. października 1857. r. w Lizbonie, gdzie zaraz zabrali się do opieki nad chorymi i opuszczonymi. Król Dom Pedro V., który sam z narażeniem siebie ciężko znękanemu narodowi pospieszył z pomocą, postanowił osierocone dzieci umieścić na wychowanie w pałacu, podarowa-

nym na ten cel przez jego ciotkę. Na urządzenie tego domu i dla opieki nad sierotami zażądał jeszcze sześć innych Sióstr Miłosierdzia, które dnia 15. grudnia 1857, r. opuściły Paryż".

Tyle czytamy w okólniku z r. 1858. Ks. Etienne nie wymienia, że sam najpierw zwiedził Lizbonę w czerwcu i lipcu 1857. r. i na dworze wyrobił wszelkie ułatwienia, znosząc się z kancelaryą królewską z jednej strony, a z drugiej z jakiemś miłosiernem stowarzyszeniem Pań z arystokracyi lizbońskiej, które właściwie zażądały Sióstr Miłosierdzia. Przybyły one w samą porę; żółta febra i cholera grasowały strasznie i pochłonęły 10.000 ofiar, tak że opustoszały domy i ulice stolicy. Księżna Braganzy, bojąc się zarazy, postanowiła nie osiedlać Sióstr w stolicy, ale w Ajuda, przedmieściu, położonem na wzgórzu w pobliżu Lizbony. Odtąd też równorzędnie traktować nam wypadnie dzieje obydwóch rodzin św. Wincentego, skoro ks. Etienne żadnej z nich poświęcić nie chciał mimo napaści i rząd się z tem musiał liczyć.

Ks. Ks. Misyonarze, związani podobnem powołaniem ze Siostrami Miłosierdzia, osiedlili się w pobliżu domu sierót, którym zarządzały Siostry na ul. św. Franciszka z Pauli w pobliżu doków okrętowych nad Tagiem. Król zatwierdził dekretem z dnia 9. lutego 1857. nadanie pałacu i powołanie z Francyi Sióstr Miłosierdzia i Ks. Ks. Misyonarzy, których Generał miał wyznaczyć. Zaraza trwała długo: na żółtą febrę zmarła jedna siostra a ks. Fougeray po chorobie opuścił Portugalię, by w Algeryi szukać ratunku dla zdrowia. Na domiar nieszczęścia zachorował ciężko *ks. Miel,* lecz dzięki modłom Sióstr powrócił do zdrowia chyba na to, by jako narzędzie Opatrzności na nowo powołać do bytu dogasające Zgromadzenie. Po wyzdrowieniu został następcą ks. Fougeray, lecz z działalnością swoją musiał się ukrywać, ograniczając się do czynności kapelana domów Sióstr Miłosierdzia; nieustannie baczną jednak zwracał uwagę, czy przy sposobności nie będzie można ożywić ducha religijnego u ludu

portugalskiego, szczerze do Kościoła przywiązanego, ale pozbawionego gorliwego duchowieństwa. Inicyatywa do dzieł dobrych wychodzi prawie wyłącznie od ludzi świeckich i tej sposobności chwyta się gorliwy wizytator portugalski, ks. Miel, stając się tem samem założycielem kilku domów tej prowincyi. Pomimo wielkiej pracy jako kapelan zakładów Sióstr Miłosierdzia otrzymuje najpierw kościół św. Ludwika w Lizbonie, gdzie po raz pierwszy rozpoczyna publicznie pracować. Kościół św. Ludwika i szpital tegoż imienia, to stara fundacya kolonii francuskiej w Lizbonie, jeszcze z roku 1438. Bractwo św. Ludwika wystawiło jednak dopiero w r. 1572. kościół swego patrona, gdzie się schodzili Francuzi, dopóki trzęsienie ziemi nie rozsypało w gruzy kościoła. Wtedy ambasador francuski hr. Saint Priest postanowił odbudować kościół, lecz zarazem wystawił i szpital dla chorych na szkorbut marynarzy francuskich, których tu dotąd z kolonii zwożono. Wobec braku miejsca i oszczędności przeprowadził przez kościół potężny trawers, podtrzymujący pewną część szpitala zbudowanego nad środkiem kościoła, co mu wiele ujęło z jego piękności i całokształtu. Wobec upadku potęgi morskiej Francyi zapomniano o szpitalu a kolonia opuściła i kościół, który opustoszał. Dopiero podczas wojen z Abdel-Kaderem w Algeryi przypomniał sobie konsul Lesseps starą tę fundacyę i chwilowo umieścił tam chorych na cholerę. Po tej restauracyi znowu następuje upadek, dopiero żółta febra przypomniała teraz wobec masy chorych stary szpital i kościół. Oddano go Oratoryanom, lecz ci po trzech latach już go opuścili, nic nie zrobiwszy. Wtedy wezwano ks. Miela, który raźno zabrał się do pracy. Kościół był pozbawiony wszystkiego, a ołtarz wielki zgnił od zalewającego go deszczu; mimo to skrzętnie zbiera ks. Miel jałmużny i wnet odrestaurował wnętrze. Pracę w kościele rozpoczął od nabożeństwa majowego, nieznanego w Lizbonie; ołtarz Matki Boskiej ozdobił sam sekretarz ambasady francuskiej, książe de Bellune, który i jałmużny skrzętnie zbierał na restauracyę. Lud zapełniał kościół tak, że ks. Miel, nie mogąc jeszcze jawnie



Lizbona. — Kościół i dom św. Ludwika.

(Klisza wzięta z »Roczników francuskich«.)

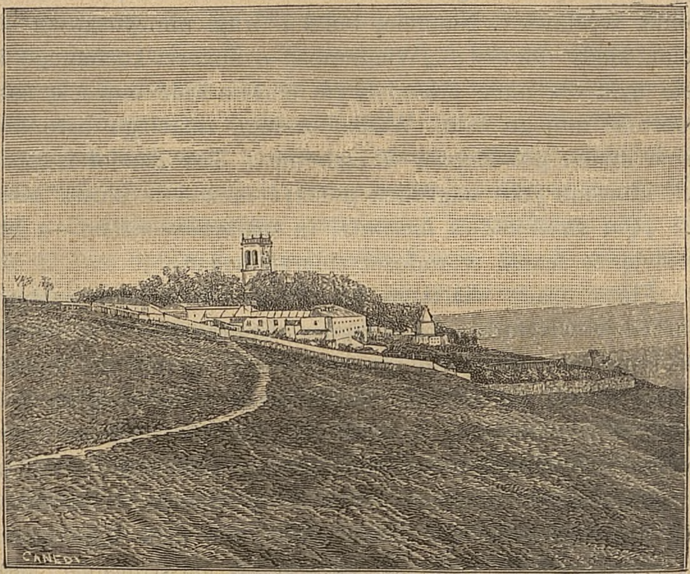
odprawiać misyi, w roku 1859. urządza już spowiedź wielkanocną dla wieśniaków, których całe rzesze przybywają do kościoła. Oprócz tego zaprowadził stowarzyszenie „Apostolstwa modlitwy“ i inne bractwa, które się bardzo rozszerzyły w Lizbonie, gdzie zaginęła już świadomość jakiegokolwiek żywszego życia religijnego wobec prześladowania Kościoła i obojętności duchowieństwa. Po za kościołem samym, którego proboszczem przez rząd został ks. Miel zamianowany, nie mógł jeszcze nigdzie szerszej rozpoczynać pracy, z jednej strony bowiem powstawały fundacye Sióstr Miłosierdzia, a z drugiej nie należało budzić czujności wrogów Kościoła pracą misyjną, skoro duchowieństwo świeckie nawet na najwyższym szczeblu było zarażone indyferentyzmem i obojętnością dla spraw wiary i Kościoła. Trudne tu było położenie gorliwego ks. Miela, który pragnął założyć gdzieś seminaryum Zgromadzenia dla wychowania sobie przyszłych kapłanów. Było to związane z ogromną trudnością, nim się praca Zgromadzenia ustaliła i domy poutwierdzały. Na razie nie pozostawało nic innego, jak osiedlać się przy większych domach Sióstr Miłosierdzia, których wizytatorem został teraz ks. Miel. Ostatecznie był już pewnym swej rezydencyi ks. wizytator t. j. kościoła św. Ludwika. Tymczasem fundacye Sióstr Miłosierdzia się mnożyły, lud je bowiem za ich pracę i poświęcenie ukochał, to też w r. 1862. liczba Sióstr dochodzi już do 70, po większej części z Francyi pochodzących. Zakładają domy i szpitale we Funchalu na Maderze i w Bemfica przy pomocy księżniczek portugalskich. Wpływ Sióstr Miłosierdzia był tak wielki na odrodzenie życia religijnego, że w końcu wybuchnęło jawne ich prześladowanie ze strony wolnomularzy i liberałów. Młody król, Ludwik I., wobec napaści w parlamencie i w prasie ustąpił i zażądał od Napoleona III., by odwołał Siostry do Francyi. Rzeczywiście zjawiła się u ujść Tagu fregata francuska Orénoque i uwiozła do Francyi 70 Sióstr. Pozostało tylko kilkanaście Sióstr portugalskich. Burza ta dotknęła i Ks. Ks. Misyonarzy; ks. Miel musiał znowu w zacisze się cofnąć, lecz nadziei nie tracił, gdyż Zgroma-

dzenie ocalało. Dla zastąpienia Sióstr Miłosierdzia zakłada przy kościele św. Ludwika stowarzyszenie Pań Miłosierdzia, potem arcybractwo Matek Chrześcijańskich i stowarzyszenie Dzieci Maryi. Wszystkie trzy stowarzyszenia świetnie się rozwinęły i były dla ks. Miela wielką pomocą w zewnętrznej misyi i pracy nad odrodzeniem życia chrześcijańskiego, zwłaszcza w uświęcaniu dzikich związków małżeńskich, w przygotowywaniu biednych dzieci do pierwszej komunii św., które zaopatrywano w ubrania z szatni Pań Miłosierdzia jako też przy rozdawaniu jedzenia ubogim, wogóle w dziełach nieznanych dotychczas w Lizbonie. Choć niepewny jutra, pracował niezmordowanie ks. Miel, ufny w Opatrzność Bożą i jej wyroki. Ks. Boré w r. 1870. trafnie przyrównywa działalność ks. Miela i Ks. Ks. Misyonarzy w Portugalii do pracy na wulkanie, który lada chwilę grozi nowym wybuchem. Wreszcie się burza uspokoiła. W r. 1872. nastąpiło otwarcie domu centralnego portugalskich Sióstr Miłosierdzia przy szpitalu św. Marty, a w r. 1873. ks. Miel zostaje wizytatorem prowincyi portugalskiej obydwóch rodzin św. Wincentego. Po 15 latach prób i doświadczeń doczekał się utwierdzenia swej pracy i błogosławieństwa Bożego dla swych dzieł. Długo jednak musiał pracować, nim utwierdził podwaliny Zgromadzenia. Zrazu na przedmieściu Lizbony, w *Bemfica*, zakłada seminaryum, skąd jednak seminarzystów wysyła później do Dax i Paryża, a studentów przeniesiono do domu głównego w r. 1902., obracając dom w Bemfica na miejsce wycieczek i odpoczynku dla księży z domu centralnego. Przejściowo osiedlili się Ks. Ks. Misyonarze w Sao Fiel, gdzie starali się założyć małe seminaryum, potem w Torres Vedras, w Rego pod Lizboną, w Marvilly i w Amarante, skąd jednak z różnych powodów musieli ustąpić. Ostatecznie prowincya portugalska utwierdziła się w pięciu domach w kraju macierzystym, odkąd Brazylia po rozdziale politycznym i w Zgromadzeniu ukonstytuowała się jako odrębna prowincya tejże nazwy.

Z fundacyi i domów Zgromadzenia wymienić nam wypada dom świętej Kwiteryi (Santa Quiteria) pod Felgueiras w północnej Portugalii. W roku 1868. osiedlili się tutaj Ks. Ks. Misyonarze wśród następujących okoliczności. Podczas prześladowania i walki z Kościołem pobożny ksiądz świecki Joachim Józef Alvarez de Moura zaczął z ogromnym pożytkiem dla wiernych odprawiać misyę w północnej Portugalii. W tym celu dla siebie i swych pomocników wybudował dom, a dowiedziawszy się o Ks. Ks. Misyonarzach i księdzu Mielu, oddał dom Zgromadzeniu, do którego sam wstąpił w r. 1868. Ks. Ks. Misyonarze, objąwszy dom, założyli tu małe seminaryum obok kościoła św. Kwiteryi, sławnej portugalskiej męczenniczki za wiarę jeszcze z pierwszych wieków. Umierający w r. 1881. przekazał ks. de Moura wszystkie swe majętności Ks. Ks. Misyonarzom. Wtedy objęli ów kościół sławny z pielgrzymek w posiadanie i rozwinęli w duchu fundatora działalność misyjną na całą północną Portugalię. Uczniowie z kolegium przechodzą potem do domu centralnego do Lizbony na dalszą naukę. Wogóle dom św. Kwiteryi jest bezwątpienia najpiękniejszą rezydencyą Zgromadzenia w Portugalii.

O ile smutne i ciężkie były pierwsze chwile pracy w Portugalii dla ks. Miela, o tyle ostatnie dwudziestolecie przyniosło mu prawdziwą pociechę. Prócz domu *św. Ludwika*, przy którym rezydował w Lizbonie i domu *św. Kwiteryi* pod Felgueiras, osiedlili się Ks. Ks. Misyonarze *we Funchalu* na Maderze przy szpitalu, fundowanym przez jedną z infantek portugalskich. Wobec braku powołań w kraju musiał ks. Miel sprowadzać konfratrów z Paryża; z radością przyjął także konfratrów niemieckich, zmuszonych do opuszczenia swego kraju z powodu walki kulturnej, między nimi księży: Schmitza, Duplana i Franzena ze czterema braćmi, których po domach porozsiedlał. Po odprawieniu misyi wezwał biskup Madery ks. Schmitza do dyrekcyi swego seminaryum we Funchalu w r. 1881., z tego stanowiska został dopiero w roku 1908 odwołany na dyrektora niemieckiego hospicyum do Jerozolimy. Gorliwy ks. Miel doczekał się i obudzenia du-

cha religijnego w Portugalii. Przy pomocy stowarzyszeń, powołanych do życia, przywrócił Kościołowi dawny blask i zjednał sobie wielu protektorów, zwłaszcza wśród infantek dworu królewskiego w Lizbonie i w ambasadzie francuskiej. Skromny, unikał wszelkich zaszczytów i odznaczeń; tymczasem dzieła przezeń założone kwitnęły i wydawały obfite



St. Quiteria. — Dom Ks. Ks. Misyonarzy.
(Klisza wzięta z »Roczników francuskich«).

owoce. Wśród pracy spotyka go też śmierć w r. 1896. Trzej biskupi odprowadzali jego zwłoki na miejsce wiecznego spoczynku na cmentarz dos Brasseres, gdzie cesarzowa brazylijska Marya Amelia wystawiła piękne grobowce obydwom rodzicom św. Wincentego. Kilka telegramów najwyższych osobistości ze świata dyplomatycznego najlepiej nam określi zapatrywania współczesnych na tego opatrznościowego kapłana. Hrabia d'Ormesson, ambasador francuski, wyraża się w swej kondolencyi do konfratrów domu św. Ludwika: „Głę-

boko zasmucony wyrażam wam moją kondolencyę; opłakujemy z wami świętego kapłana, gorliwego patryotę, który zaszczyt przynosił naszej kolonii i któregośmy szczerze kochali i poważali". Kardynał Alojzy Masella, dawny nuncyusz w Lizbonie, pisał: „Nie mogę wam wyrazić, jak mnie zasmuciła śmierć najczcigodniejszego i drogiego ks. Miela i jak opłakuję tę stratę waszego Zgromadzenia. Lizbona powinna mu pomnik wystawić". Niemniej bolał i drugi nuncyusz, ks. Jacobini, kiedy donosił: „Wiadomość o śmierci kochanego ks. Miela była dla mnie prawdziwym ciosem i nie możecie sobie wyobrazić mojego żalu. Wielką zasługą zmarłego było obudzenie ducha pobożności w Lizbonie". Tak działał i żył ks. Miel, któremu jako nagrobek położyć można te słowa pisma św.: „*Qui seminant in lacrimis, in exultatione metent* — którzy sieją ze łzami, w radości zbierać będą".

Plony pracy wielkiego ks. Miela zebrał jego następca w urzędzie wizytatora ks. Fragues. Uporządkował prowincyę i w tym celu obrał sobie rezydencyę w nowym gmachu w Lizbonie na ul. Arroios, oddzieliwszy urząd wizytatora od urzędu superyora przy kościele św. Ludwika. Obecnie liczy prowincya portugalska do 30 kapłanów i 20 braci i tak jak we wieku XVIII. odzyskała dziś swoje znaczenie i stanowisko; bez najmniejszego oporu uznał też rząd Zgromadzenie, i potwierdził je po raz ostatni 18. października 1901. roku, że bez przeszkody prawnie może w Portugalii się rozwijać i działać.

O ile wskutek szczęśliwych okoliczności pomyślnie się rozwinęło Zgromadzenie Ks. Ks. Misyonarzy w Portugalii, o tyle jeszcze pomyślniej druga rodzina św. Wincentego zakwitnęła w tym kraju t. j. *Siostry Miłosierdzia*. Różne okoliczności się złożyły na sprowadzenie Sióstr. Przedewszystkiem jak wszystkie państwa, tak zwłaszcza Portugalia nie troszczyła się o ubogich, biednych, chorych czy to pojedynczo czy po szpitalach, zostawiając to Kościołowi, klasztorom i różnym bractwom, które nawet więźniom dostarczały pożywienia, by z głodu nie pomarli. Ta obsługa miłosierna

przychodziła łatwo Kościołowi i klasztorom wobec fundacyi, na ten cel przeznaczonych. Skoro jednak dotacye klasztorne i nadania kościelne skonfiskowała rewolucya czy też liberalno-masońskie rządy, wtedy wobec tłumów biednych i chorych, pozostających bez opieki, nie pozostało rządowi nic innego, jak fundować nowe rządowe szpitale. Do tych to rządowych instytucyi wezwano teraz Siostry Miłosierdzia. Po raz pierwszy stanęły Siostry na ziemi portugalskiej w 1819. roku. Jeden z Ks. Ks. Misyonarzy był ich przełożonym jako zastępca generała. Aż do 1838. roku były Siostry portugalskie w łączności z domem macierzystym, w tym dopiero roku pod wpływem namów a nawet pogróżek różnych ludzi oderwały się od swych generalnych przełożonych, poddając się pod zwierzchnictwo patryarchy lizbońskiego. Nie obyło się to bez oporu znacznej części Sióstr, tak że zwolenniczki rozdziału wystarać się musiały aż o brewe papieskie, oderwanie to potwierdzające. Zezwolenia na rozdział udzielono, lecz tylko, dopóki się okoliczność inaczej nie ułożą *(ad tempus, perdurantibus circumstantiis)*. Odtąd żyją Siostry w zależności od patryarchy lizbońskiego, lecz cały ten rozdział nie przyniósł im szczęścia ani błogosławieństwa Bożego. Pomimo protekcyi dworu królewskiego i mimo tego, że mogły seminarzystki przyjmować, Zgromadzenie ledwie wegetuje. Skoro więc w r. 1857. przybyły francuskie Siostry Miłosierdzia, portugalskie były prawie na wymarciu i nie odpowiadały swemu powołaniu, jak to sam patryarcha Lizboński stwierdził. Biedne Siostry pojmowały dobrze ten smutny stan i uważały to za karę Bożą; skorzystały też skwapliwie ze sposobności, by się poddać ks. generałowi Etienne na co się patryarcha z chęcią zgodził. Siostry portugalskie, zasilone nową liczbą Sióstr francuskich i poddane im, zabrały się teraz wspólnie do pracy miłosiernej. Otrzymały domy i szpitale w Ajuda, Bemfica i Funchal na Maderze, gdzie wychowywały sieroty i opiekowały się chorymi na cholerę i żółtą febrę. Rząd je zrazu zatwierdził, lecz pomimo zadowolenia i uznania ludności gazety rewolucyjne ostro je zaatakowały, czemu nie przeszkadzał re-

gent Ferdynand Koburski, książe protestancki rządzący w imieniu małoletniego syna Dom Pedra V. jako mąż królowej Maryi. Gabinet za rządów prezydenta Loulé usiłował Siostry wydalić, albo je przynajmniej w działalności ograniczyć. Po upadku tego ministra przychodzi do rządów gabinet księcia Terceiry, za którego Siostry się rozszerzają i otrzymują cztery nowe domy. Po śmierci księcia ministeryum pod prezydentem Loulé wraca i wolnomularstwo jawnie zaczyna Siostry prześladować jako cudzoziemki, które w coraz większej liczbie napływają do Portugalii. W obronie Sióstr wystąpił wtedy ambasador francuski, lecz prezydent Loulé rzekł mu: „Protekcya i opieka, jaką arystokracya otacza Siostry Miłosierdzia, wzbudza podejrzenie u niższych warstw, a my musimy się z tem liczyć“. Na ten wybieg wolnomularza odrzekł ambasador: „Jeżeli Siostry w Portugalii przedstawiają arystokracyę, czy zaliczają się do niej, to we Francyi znowu tak ze względu na swoje pochodzenie jak i ze względu na swą pracę miłosierną należą do niższych warstw ludności i z powodu swego poświęcenia są niezmiernie popularne i szczególnie lubiane“. Dla miłego spokoju jednak radził ambasador, by ustąpiły z kraju; z rozkazu Napoleona III. fregata Orénoque wywiozła do Francyi 70 Sióstr stamtąd pochodzących w r. 1862. Zostały tylko cztery przy szpitalu św. Ludwika, skąd się znowu już jako urodzone w kraju rozszerzyły i objęły dawne posterunki. Panie Miłosierdzia, zorganizowane przez ks. Miela, zastąpiły chwilowo Siostry nieobecne, dopóki zreformowana teraz portugalska prowincya Sióstr Miłosierdzia nie odzyskała dawnych stanowisk i tak spełzły na niczem zamiary wrogów Kościoła i Zgromadzenia. Dziś Siostry pracują w 20 domach i szpitalach nad sierotami i chorymi i cieszą się uznaniem ludności i społeczeństwa za swe poświęcenia. Niektóre z nich, jak Siostra Rautureau, siostra Rolland na Maderze, podbiły serca swych najzaciętszych przeciwników swą miłosierną pracą i bezgranicznem poświęceniem, i śmiało przypuścić możemy, że już chyba żadne prześladowanie w Portugalii nie dojdzie do tego zdziczenia, by

usuwać je od łoża chorych a sieroty pozbawiać prawdziwych matek. Bez najmniejszej trudności zatwierdził je też rząd w 1901 r. jak Zgromadzenie, uznane w krajach korony portugalskiej.

Tak w najogólniejszych zarysach przedstawia się stan prowincyi portugalskiej obydwóch rodzin św. Wincentego. „*Qui seminant in lacrimis, in exultatione metent*“.

Ks. J. Rzymełka.

KRONIKA.

Chiny. — W wikaryatach apostolskich, powierzonych naszemu Zgromadzeniu, zaszły w ostatnim czasie pewne zmiany; tak n. p. Stolica święta przeniosła Mgra Augustyna Coqset'a, wikaryusza apostolskiego z południowego Kiang-si do zachodnio-południowego Cze-li na miejsce zmarłego Mgra Brugiere'a. Ks. Mikołaj Ciceri został biskupem tytularnym Dansawy *in partibus* i wikaryuszem apostolskim południowego Kiang-si. Siedm wikaryatów apostolskich w Chinach, pozostających pod zarządem naszego Zgromadzenia, rozciąga się na przestrzeni 405.383 km^2, a więc tak wielkiej niemal jak cała Francya. Obszar ten zamieszkuje 71,000.000 pogan, 26.000 heretyków i schizmatyków, 216.000 katolików, a więc o 21.369 więcej niż w roku poprzednim. Owoce jednoroczne są zatem bogate. W obecnej chwili wikaryaty liczą 32.655 katechumenów, t. j. 20.175 mężczyzn i 12.480 kobiet, dzieci ochrzczono w roku ubiegłym 61.440. Dane statystyczne, odnoszące się do prac naszego Zgromadzenia, podały także „Roczniki Rozkrzewienia Wiary“ za marzec b. r. Według tego sprawozdania ogólna liczba katolików wynosiła 216.800, biskupów 6, księży europejskich 156, księży krajowców 113, Sióstr Miłosierdzia 187, nauczycieli szkolnych 1.739, nauczycielek 1.249, kościołów i kaplic 1.227, seminaryów 14, seminarzystów 440, chrztów 90.000. Do tej statystyki dodaje wspomniane czasopismo kilka ogólnych uwag o postępie katolicyzmu w Chinach. „Na podstawie sprawozdań z roku poprzedniego — czytamy tam — można się było spodziewać, że cyfra katolików w Chinach przekroczy wkrótce milion.

Nadzieje te nie zawiodły. Jakkolwiek statystyka z wielu wikaryatów apostolskich za rok bieżący jeszcze nas nie doszła, to chociaż cyfry brakujące zastąpimy danemi z roku poprzedniego, otrzymamy liczbę 1,010.000 chrześcijan, do czego należałoby jeszcze dołączyć ludność katolicką z Makao, wynoszącą najmniej 21.000, oraz przyrost w wikaryatach, z których jeszcze nie mamy sprawozdania. Przyrost ten powinien wynosić najmniej 7—8.000. Ludność katolicka cesarstwa chińskiego liczyła więc z końcem r. 1907. około 1 miliona 40.000 dusz. Niema ani jednego wikaryatu, któryby P. Bogu nie mógł dziękować za przyrost; najmniejsza liczba wynosi 17, największa 14.533 (Pekin). Przyrost ogólny przeszło 67.000, t. j. 7 na 100, jest bardzo pocieszający. Jeżeli sobie przypomnimy, że w Chinach znajduje się około 1.800 księży, z tych 1.200 misyonarzy europejskich, jest to przyrost 37 osób na jednego księdza, czyli 56 na jednego misyonarza.“

Persya. — Tauris. — List ks. Berthounesque z stycznia 1908. r. „Persya przebywa obecnie kryzis, która może dla niej będzie jutrzenką wyższej cywilizacyi. W naszej szkole wzrasta liczba uczniów muzułmańskich, bo ludność nie chce nadal zostawać w ciemnocie, w której ją dotychczas trzymano. Musimy ponosić wiele ofiar, żeby wykształcić zgłaszającą się młodzież, chciwą wiedzy. Stara Persya zżyma się bardzo przeciw tym zapędom liberalnym, ale jej klęska jest nieunikniona. Na razie musimy ograniczać liczbę naszej młodzieży szkolnej z powodu szczupłego lokalu, a musimy koniecznie oddzielić chrześcijan od muzułmanów.

„Dla dobra perskiej młodzieży musimy koniecznie obok szkoły armeńskiej zbudować drugą dla muzułmanów. Nasza stacya misyjna ma przed sobą wielką przyszłość, zwłaszcza z powodu ścisłego związku z Rosyą, z którą się łączy koleją żelazną. Wkrótce będziemy się już bezpośrednio stykali z Rosyanami, bo rosyjski konsul sprowadził tu już 50 kozaków dla bezpieczeństwa carskich poddanych; jest to niezawodnie pierwszy krok do systematycznej okupacyi“.

Kolumbia. — Z listu ks. Maurycego Collard. — Konsekracya biskupia ks. Emanuela Arboleda. „Znanym już faktem jest konsekracya Mgra Emanuela Arboledy na biskupa 29. czerwca 1907. r. w katedrze w Bogota; udzielił jej Mgr Ragonesi, delegat Apostolski i nadzwyczajny zastępca Stolicy Świętej u rządu kolumbijskiego. W uroczystości wzięli udział ministrowie Rzeczypospolitej, kilku biskupów, znaczna część ciała dyplomatycznego i wielka liczba wybitnych w kraju osobistości. Generał Rafał Reyes, prezydent Rzeczypospolitej, sam chciał być świadkiem nowego biskupa i odprowadził go pod ramię po skończeniu obrzędu. W pałacu prezydenta wydano w tym dniu ucztę, na której zebrały się wszystkie znakomitości. Powrót Mgra Arboledy odbył się wśród odgłosów tryumfalnych. Podczas podróży z J. Eks. delegatem Apostolskim spotykał się z ciągłemi owacyami. Wsie i miasta, przez które przejeżdżali, przyjmowały ich z oznakami entuzyastycznemi czci i przywiązania. Od Catargo, miasta rodzinnego Mgra Arboledy, aż do Cali, odbywano podróż rzeką Cauca. Jeszcze w dni kilka później można było na tej przestrzeni nad brzegami spostrzedz liczne ołtarze. Opowiadano, że mały parowiec, wiozący obydwu dygnitarzy kościelnych, jeździł od brzegu do brzegu, a na zebrane z okolicznych miejscowości tłumy razem z błogosławieństwem apostolskiem Mgra Ragonesi spływało prymicyjne nowego pasterza. Mieszkańcy Cali zgotowali dostojnikom świetne przyjęcie. Do licznie zgromadzonego dla oddania hołdu duchowieństwa odezwał się delegat Apostolski w bardzo pochlebny sposób; cały zaś ten kler wychowali Ks. Ks. Misyonarze, bo obydwa seminarya w Popayan są najstarszemi domami naszymi w tej prowincyi. Wjazd Mgra Ragonesi do Santa-Rosa zamienił się w rodzaj pochodu tryumfalnego: całe miasto ubrało się odświętnie w festony i chorągwie, a ludność pospieszyła z poddańczym hołdem. Przez 3 dni bawił delegat Apostolski w naszym domu, informując się o wszystkiem szczegółowo. Zarówno Mgr Ragonesi jak biskup z Ibague i arcybiskup Bogoty proszą nas o objęcie seminaryum w Ibague. Chcą

nam też podobno oddać wikaryat apostolski Choco, zaludniony przez murzynów i biednych indyan. Św. Wincenty z pewnością by się bardzo ucieszył z pracy nad tymi opuszczonymi biedakami. Obydwie rodziny św. Wincentego mają w tym kraju taką przyszłość, że wszelkie ofiary, jakie się tu robi, są jakby kapitałem, włożonym w przedsiębiorstwo, które po kilku latach przyniesie bogate zyski".

Kuba. — Na wyspie tej zyskaliśmy znowu nowy posterunek w Guantanamo. Wspominaliśmy już dawniej, że Siostry Miłosierdzia pracują tam bardzo pożytecznie po szpitalach i szkołach. Bardzo owocną jest przedewszystkiem działalność w kolegiach, bo dziewczęta, wychowane w duchu chrześcijańskim, wnoszą ciepło religijne do nowych ognisk domowych a nadto znaczna ich część, obierając zawód nauczycielek, wpływa w podobnym duchu na szerokie warstwy. Księża Misyonarze osiedlili się dotąd w stolicy Hawanie, nadto w Santiago i Matanzas. Poniżej podajemy list ks. Raimunda Guell'a, donoszący o fundacyi nowego domu w Guantanamo:

„W liście tym chcę powiadomić o moim pobycie w Guantanamo. Parafia nasza rozciąga się na obszarze 30 mil i liczy 50.000 dusz. Punktem głównym jest Guantanamo i z niego łatwo można się dostać koleją żelazną do Tricabas, Jamaiki i do portu Caimanara. Port ten liczy wprawdzie tylko 1.000 mieszkańców, lecz ma widoki wielkiego rozwoju z powodu składu węgla, który tu Stany Zjednoczone założyły. Kiedy kanał panamski będzie ukończony, Caimanara stanie się znacznem centrum ruchu i z pewnością będzie punktem ważniejszym od Santiago de Cuba, które obecnie liczy 60.000 mieszkańców. W Caimanara mają protestanci kaplicę, katolicy natomiast żadnego nie posiadają kościoła. Burmistrz i inne osoby znaczniejsze, z któremi się poznałem, myślą o budowie kościoła; spodziewam się, że wnet będą mogli pracę rozpocząć. W Tricabas kaplicy protestanckiej niema, lecz kościół katolicki, który tu się znajdował, leży w ruinach; ludność jednak miejscowa zgadza się na jego odbudowę. Mieszkańcy tej okolicy są ubodzy i pracują

w licznych cukrowniach i na plantacyach kawy. Prócz wyżej wspomnianych miasteczek należy jeszcze do Guantanamo kilka wiosek. Z tych wskazówek można poznać nasze położenie, podobne mniej więcej do krajów misyjnych na Wschodzie; 4 Misyonarze, którzy tu pracują, nie potrafią zadość uczynić wszelkim potrzebom.

Możnaby tu wiele dobrego zdziałać dla dobra dusz a z czasem także położyć podwaliny do trwałego rozwoju Zgromadzenia. Zamiary te moglibyśmy urzeczywistnić tylko wtenczas, gdybyśmy zdołali założyć w Guantanamo kolegium dla dalszego kształcenia dzieci, umiejących już pisać i czytać; trzeba by je przygotować do przyszłych zawodów, do handlu i przemysłu.

Guantanamo nie ma żadnego kolegium katolickiego ani dla chłopców ani dla dziewcząt. Dla ostatnich jest wprawdzie jedna szkoła, lecz przyjmuje się tam tylko córki bogatych rodzin i zaraża się je protestantyzmem. Znajduje się tam także zbór protestancki; protestanci niezadowoleni z tego jednego kościoła, robią gorliwe zabiegi o wybudowanie jeszcze drugiego. Synowie ciemności pracują pilniej od synów światła.

Protestanci obfitują w środki materyalne, których całkiem brak katolikom, nie wątpimy jednak wcale w sprawę naszą, bo Bóg nas wesprze, jeżeli należycie spełnimy swe zadanie".

Niemcy. — Nowy dom w Bochholtz. — Kiedy w r. 1872. wydalono z Niemiec Jezuitów i pokrewne Zgromadzenia, niemieccy konfratrzy osiedli tuż nad granicą w Holandyi, ażeby każdej chwili pospieszyć na dawne posterunki. Prowincya niemiecka ma swojego wizytatora w Theux w Belgii. Pod koniec r. 1907. zyskała prowincya nowy w Holandyi posterunek w Bochholtz, gdzie ma być stacya misyjna a zarazem dom rekolekcyjny dla duchowieństwa. Tymczasem mieszkają konfratrzy w domu wynajętym.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kraków-Kleparz. Święto przeniesienia Relikwii św. Wincentego obchodziliśmy w tym roku ze szczególną uroczystością. *„Rogate ergo Dominum messis, ut mittat operarios in messem suam“* : „Proście tedy Pana żniwa, aby wysłał robotników na żniwo swoje“ śpiewał Kościół w ewangelii św. tego dnia, a śpiew ten był dla nas dziwnie uroczystym i dziwnie pocieszającym, bo z rąk Najprzewielebniejszego ks. Biskupa Nowaka w asystencyi Najczcigodniejszego Ks. Wizytatora otrzymało święcenia kapłańskie 9 naszych konfratrów t. j. księża: Grabowski, Komander, Kwapiński, Paszyna, Pawłowski, Skrzydelski, Stawianowski, Wróbel i Żdziebło. Chwila ta posiadała tem większy urok, że owiana była serdecznem ciepłem rodzinnem ; cieszyli się bowiem z nami konfratrzy, którzy dojeżdżali już z Ameryki na konwent: księża Bayer, Głógowski, Waszke i Sołtysik. Jeżeliśmy powtarzali codzień ze smutkiem: *„operarii pauci“* „robotników mało“ to tembardziej oni. W Południowej Ameryce otwarł się nowy dom w Rio Claro; wyjechali z pomocą w kwietniu ks. Ludwik Bronny i Rudolf Steinsdorfer, ale niebawem miano nas jeszcze zawezwać do Orleansu. To w Paranie. W Ameryce Północnej zorganizował nową parafię w Filadelfii ks. Głogowski; trzeba było zasiłku, a u nas czasy niedoboru. „Przybliżyło się“ jednak jakby do nas „Królestwo Boże“, zajaśniała nam nadzieja, że będziemy mogli zadość uczynić najbardziej palącym potrzebom. Tak dziwnie, tak niemal dosłownie zgadzała się treść ewangelii tego dnia z nastrojem naszych dusz i z planami na przyszłość; aż 4 bowiem neoprezbiterów miało wyruszyć za morze: „i rozesłał ich po dwóch do wszystkich miast i miejsca, kędy sam przyjść miał“.

Naszej pracy misyjnej zakreślił ciaśniejsze granice ukaz, zabraniający wstępu Misyonarzom do Królestwa; trzeba się więc znowu niemal do samej Galicyi ograniczać. Daliśmy więc w ubiegłym kwartale tylko 7 misyi: 3 w dyecezyi tarnowskiej (Czernin, Borowa i Padew), 3 w krakow-

skiej (Kęty, Poręba W. i Osiek), jedną w dyecezyi wrocławskiej (Michałkowice pod Ostrawą).

Rekolekcye dawali nasi konfratrzy biednym na Kleparzu, w liceum p. Kaplińskiej i w gimnazyum p. Strażyńskiej, wreszcie Siostrom Miłosierdzia w Krakowie, nadto we Lwowie w zakładzie karnym dla kobiet i w szkole kolejowej, na końcu dla pań w Rohatynie.

Kraków. — Nowa ochrona na Modrzejówce. — Uroczystości poświęcenia tej nowej instytucyi dobroczynnej poświęcił *Czas* z 5. maja 1908. b. r. osobną notatkę, którą tu podajemy:

Poświęcenie nowej ochrony na Modrzejówce odbyło się onegdaj po południu w obecności grona zaproszonych gości, całej prawie Rady nadzorczej Towarzystwa budowy tanich mieszkań i licznie zebranych mieszkańców domów robotniczych. Samych dzieci miejscowych większych i mniejszych było paręset. Aktu dopełnił proboszcz parafii św. Szczepana, ks. Józef Błonarowicz. W pięknej przemowie zwrócił się do młodzieży i jej rodziców, tłómacząc piękność miłości chrześcijańskiej i doniosłość dzieła ochrony, założonej dzięki ofiarności jednego z obywateli krakowskich, który wymówił sobie, by nie był nazwanym. Następnie zabrał głos wiceprezes Towarzystwa tanich mieszkań, Dr. Stanisław Tomkowicz, przypominając wielkie około instytucyi tanich mieszkań dla robotników katolickich zasługi ś. p. hr. Andrzeja Potockiego i ś. p. Dra Henryka Jordana, dziękując wszystkim, którzy do rozwoju instytucyi się przyczynili i życząc „szczęść Boże“ przyszłym kierowniczkom ochrony, Siostrom Miłosierdzia. Okrzyk ten powtórzyli obecni z zapałem. Żona fundatora chlebem i solą przyjęła zakonnice obejmujące ochronę.

Nowa instytucya przedstawia się nader korzystnie. Ochrona urządzona jest w dawnej willi Modrzejewskiej, w pięknej, wysokiej i widnej sali, która niegdyś służyła do przedstawień teatralnych i przyjęć towarzyskich. Ze salą łączy się obszerna kryta weranda i spory ogródek, oparkaniony nad Rudawą, ocieniony dużemi drzewami. Po drugiej

stronie sali jest obszerna poczekalnia dla dzieci i pokoik dla Sióstr, które z początku będą dochodzić tylko na godziny dzienne, lecz w ciągu lata lub najdalej z jesienią zamieszkać mają stale przy ochronie. Położenie otwarte i przewiewne, w miejscu wysokiem i suchem, wśród ogrodów i pól, zapewnia zakładowi warunki hygieniczne, mimo niezbyt wielkiego oddalenia od centrum miasta, bo przed rogatką krowoderską.

Ochrona przeznaczoną jest wyłącznie dla mieszkańców zakładu tanich mieszkań, a i tak wpisanych będzie na razie do niej około 100 dzieci. Odpowiada ona więc piekącej potrzebie i będzie wielkiem dobrodziejstwem dla rodzin robotniczych, których obecnie Modrzejówka liczy przeszło 80. Miłym był i rozrzewniającym widok potężnego zastępu dziatwy i jej rodziców, otaczających Szarytki, objawiających im w formach pełnych swobody i zaufania swoją radość i wdzięczność.

Parana — Thomas-Koelio. — Gazeta Polska w Brazylii pod dniem 4. czerwca 1908. r. donosi o działalności naszych konfratrów w Thomas-Koelio: Założona przed trzema laty szkoła na tak zwanych Nowych Rosach w Tomas-Koelio, rozwija się coraz pomyślniej.

Przed paru tygodniami zawiązało się tutaj towarzystwo pod nazwą „św. Jana Kantego“, którego głównym celem jest staranie się o dobro i rozwój szkoły i szerzenie Oświaty. Przy wyborze zarządu obrano prezesem W-nego księdza Sup. OO. Misyonarzy, wiceprezesem p. Michała Dudka, sekretarzem p. Wojciecha Kulkę, skarbnikiem zaś Jakóba Nowaka. — Na zebraniu dnia 26. z. m. uchwalono stałą pensyę dla nauczyciela, wypłacaną temuż przez Towarzystwo. Postanowiono rozwijać ducha narodowego przez obchody i okolicznościowe odczyty, powzięto dalej inne uchwały, jak założenie biblioteki, czytelni i t. d. Zaznaczyć wypada wielką uczynność i pomoc dla szkoły ze strony W-nych Ks. Ks. Misyonarzy, którzy nie szczędząc grosza spieszą ze swą światłą radą i zachętą w kierunku oświaty. I gospodarze tu-

tejsi niemniej ochoczo biorą się do chlubnego dzieła; i tak p. Jakób Nowak ofiarował bezinteresownie dla szkoły pół alkra ziemi (szkoła jest zbudowana również na gruncie danym już dawniej przez p. Nowaka) a pp. Wojciech Kulka, Józef Gembarowski, Wojciech Burkot i inni do spółki, zapisali przeszło pół akra ziemi na szkołę. Tak więc u nas raz poczęte dzieło postępuje raźno naprzód, kierowane zgodnie a ze zrozumieniem własnego interesu przez ludzi dobrej woli, czemu tylko przyklasnąć należy a zawołać: Szczęść Boże!

†

Ś. p. Brat Jan Klecza.

Dnia 15. maja b. r. odprowadziliśmy na miejsce wiecznego spoczynku ś. p. Brata Jana. Żył lat 70, w powołaniu 44.

Zmarł on 13. maja w szpitalu św. Łazarza, po dłuższej chorobie, bardzo ciężkiej, opatrzony św. sakramentami.

Niejeden z przechodniów, widząc ten pogrzeb, gdyby się zapytał, kogo tak wspaniale prowadzą a otrzymał odpowiedź, że to braciszek misyonarski, zapewne dziwiłby się, że ma taki uroczysty pogrzeb.

Dla nas zaś, cośmy go znali, i ta ostatnia posługa zbyt małą się wydawała w stosunku do zasług jego.

Ś. p. Brat Jan urodził się w Kleczy, koło Wadowic. W młodzieńczym wieku przybył do Krakowa, został przyjęty na Stradomiu w domu Ks. Ks. Misyonarzy, naprzód do zajęć domowych a przypatrzywszy się życiu misyonarskiemu i sam zapragnął zostać na zawsze synem św. Wincentego. Przyjęty do Zgromadzenia w 1864. przebywał na Stradomiu, to na Kleparzu, osiem lat we Lwowie, aż wreszcie od 1878. już stale na Kleparzu, przy furcie, gdzie go wszysey mogli podziwiać, jak urząd ten, z natury rozpraszający i denerwujący, sprawował z pobożnością i dobrocią anielską.

Te dwa przymioty jednały mu Boga i ludzi.

Słuchanie mszy św., komunia częsta, różaniec, czytania duchowne, zwłaszcza żywoty Świętych, droga krzyżowa,

to były jego ulubione zawsze ćwiczenia duchowne, których przy największych zajęciach nie zaniedbywał.

A zajęcia te, jakież rozliczne i ciężkie!

Na każdy odgłos dzwonka, czy zapukania w okienko furty, na Kleparzu, gdzie koncentrowało się całe życie Zgromadzenia, urząd wizytatorski, kapelanie szpitali, seminaryum, studya, małe seminaryum, wydawnictwa a więc tysiące interesantów, — a każdy naprzód spotkał się z uprzejmem wejrzeniem i gotowością do usług ś. p. Brata Jana. Ta cierpliwość i łagodność była wypływem prawdziwej pobożności wewnętrznej. A cóż powiemy o jego sumienności!

Gdy starosta Waleryan starał się skłonić św. Wawrzyńca do odstępstwa od wiary, kusił go do sprzeniewierzenia się w jego urzędzie, t. j. aby pieniądze, którymi w imieniu Kościoła dysponował dla dobra ubogich, jemu oddał. Wiedział dobrze, że niesumienność a zwłaszcza w sprawach pieniężnych, tak powikłałaby mu sumienie, że i odstępstwo od wiary będzie tylko łatwem następstwem tego. Św. Wawrzyniec był jednak sumienny, wierny i został świętym i męczennikiem.

Naśladował go ś. p. Brat Jan.

Opatrznościowy a nagły rozwój naszej prowincyi sprawiał, że robotników zawsze było mniej, niż pracy, stąd np. całe prowadzenie „furty" t. j. pośredniczenie w nabywaniu dewocyonaliów, zapisywanie mszy świętych, cały fundusz Dzieła Trójcy św., Dzieła św. Dziecięctwa P. Jezusa, wydawnictwa i przesyłki pieniężne za nie, czy prywatne i t. d., wszystkiem tem w pierwszej niejako mierze, kierował nie ksiądz, ale on, ś. p. Brat Jan.

I tam, gdzie w instytucyach świeckich tego zakroju, stworzonoby biura i kilku co najmniej, dobrze płatnych urzędników, tu wszystkiem kierował Brat Jan, sumiennie i wiernie.

Pieniądze te były w jego rękach, jak owe skarby w rękach św. Wawrzyńca; to pieniądze ubogich, kościoła i strzegł ich sumiennie.

Sumienność ta, to jego cnota główna, to jego słuszny tytuł do wdzięczności Zgromadzenia na długie czasy. Składamy więc tu cześć tej czcigodnej postaci i cnotom ś. p. Brata Jana a o duszy jego, weźmy sobie za miły obowiązek pamiętać często w modlitwach naszych.

Ks. Jan Dihm.

Ś. p. Siostra Domicela Ditrich.

Nasza ukochana i nieodżałowana Siostra Domicela otrzymała od swej matki bardzo staranne i religijne wychowanie. W 18 roku życia wstąpiła do Zgromadzenia i odbyła postulat w Maryampolu pod kierunkiem Siostry Aleksandry Jabłońskiej, seminaryum we Lwowie pod dyrekcyą ś. p. ks. Klingera, Matki Wizytatorki Borowskiej i Siostry Izabeli Komorowskiej jako dyrektorki. Pierwszych lat kilka przebyła u św. Maryi Magdaleny przy więźniarkach, w r. 1864. przeniesiono ją do szpitala św. Łazarza w Krakowie i tu przepędziła bez przewy 43 lata na tym samym oddziale przy kobietach gorączkowych. Do Zgromadzenia i przełożonych przywiązana była całem sercem; przez czas pobytu jej w szpitalu zmieniano kilkakrotnie siostry służebne, a dla wszystkich miała uczucie uległości i miłości dziecięcej. Podziwiałyśmy u Niej zawsze wielką sumienność w spełnianiu urzędu, nadzwyczajną miłość dla chorych, szczególną gorliwość o zbawienie duszy z zupełnem zaparciem siebie i narażaniem nadwątlonego zdrowia. Wykształciła dużo młodych Sióstr i postulantek na swym oddziale, ucząc je z miłością, jak służyć mają chorym; to też przez całe swe życie Siostrę Domicelę z wdzięcznością wspominają. Ilekroć lekarze przy zmianach się dowiedzieli, że nowo przybywająca Siostra była przez kilka miesięcy przy siostrze Domiceli, mówili: „a to dobrze“ i okazywali jej zaufanie. Pan profesor Pareński, przy którym kilkanaście lat pracowała, ufał Jej więcej aniželi

młodym lekarzom; co zaś do nas, to rzadko kiedy wzywałyśmy doktora, poczciwa Siostra Domicela zwykle nam radziła w różnych małych dolegliwościach; to też nie możemy się dotąd pogodzić z myślą, że Jej już wśród nas niema, że już poszła po zapłatę do Pana Boga.

R. I. P.

Zmarli Misyonarze:

1. Ks. Ludwik Bollo, 5. kwietnia w Turynie (Włochy) ; żył lat 61, w Zgromadzeniu 29.
2. Ks. Michał Rintort, 5. kwietnia w Palmie na wyspie Majorce, żył lat 29, w Zgromadzeniu 13.
3. Ks. Tomasz O'Donoghue, 24. marca w Baltimore (Stany Zjednoczone), żył lat 68, w Zgromadzeniu 53.
4. Br. Franciszek Kaier, 9. kwietnia w Gracu, żył lat 28, w Zgromadzeniu 8.
5. Ks. Jerzy Deroo 22. kwietnia w Smyrnie, żył lat 43, w Zgromadzeniu 15.
6. Ks. Wincenty Villazan, 20. kwietnia w Ecija (Hiszpania), żył lat 45, w Zgromadzeniu 27.
7. Br. Jan Lecheler, 25. kwietnia w Wiedniu, żył lat 76, w Zgromadzeniu 48.
8. Ks. Piotr Valée, 2. maja w Paryżu, żył lat 73, w Zgromadzeniu 28.
9. Br. Juliusz Lyoen, 5. maja w Paryżu, żył lat 59, w Zgromadzeniu 22.
10. Ks. Emanuel Dupis, 4. maja w Petropolis (Brazylia), żył lat 29, w Zgromadzeniu 10.
11. Br. Jan Klecza, 13. maja w Krakowie, żył lat 70, w Zgromadzeniu 44.
12. Ks. Henryk Hermkes 13. maja w Gouvy (Belgia), żył lat 41, w Zgromadzeniu 21.
13. Br. Maksymilian Bottegal, w maju, w Buenos-Aires (Republika Argentyńska), żył lat 57, w Zgromadzeniu 26.
14. Ks. Gustaw Souza, 26. maja w Campo-Bello (Brazylia), żył lat 51, w Zgromadzeniu 24.

Siostry Miłosierdzia:

1. S. Helena Soltesz, 23. kwietnia w Domu Centralnym w Krakowie, żyła lat 32, w Zgromadzeniu 3.
2. S. Zofia Wierzbowska, 25. kwietnia w Domu Centr. w Krakowie, żyła lat 36, w Zgromadzeniu 14.
3. S. Melania Niepokój, 16. czerwca w Domu Centr. w Krakowie, żyła lat 73, w Zgromadzeniu 48.
4. S. Florentyna Wasilewska, 19. czerwca w Domu Centr. w Krakowie, żyła lat 47, w Zgromadzeniu 19.

R. I. P.



OJCIEC ŚW. PIUS X.

1858 — 18/IX. — 1908